Świat kobiecy



N. 10.

Treść numeru dziesiątego:

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w ADMINISTRACJI Lwów, Chorążczyzna 27, miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł. 10·50, półrocznie zł. 18·—, rocznie zł. 36·—. Numer pojedyńczy 2 zł.

Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem PKO (Konto Nr. 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście znaczkami pocztowemi.

Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazetowych i t. p. Cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów **miesięcznie zł. 3·60, kwartalnie zł. 10·—** lub na poczcie **cena miesięcznie zł. 3·66, kwartalnie zł. 10·17.**

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N—R 10 ROK VIII | 15 MAJA 1928 ROKU

W SETNĄ ROCZNICĘ ZAŁOŻENIA OSSOLINEUM

WOLNYM już i szczęśliwym z odzyskania Tej, co zmartwychwstała, dano dziś święcić setną rocznicę czynu, zmierzającego ku zachowaniu niepodległości duchowej. Byli, których imiona miecz znaczył krwawo na polach bitew, zasię ognistemi zgłoski zapisali się w historji bojownicy ducha.

Jeden z owych świetlanych — to Józef Maksymiljan Ossoliński, twórca Zakładu Narodowego we Lwowie.

Przed laty stu wzniosła się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej warownia polskości, trudem i ofiarą najszlachetniejszej jednostki do życia powołana.

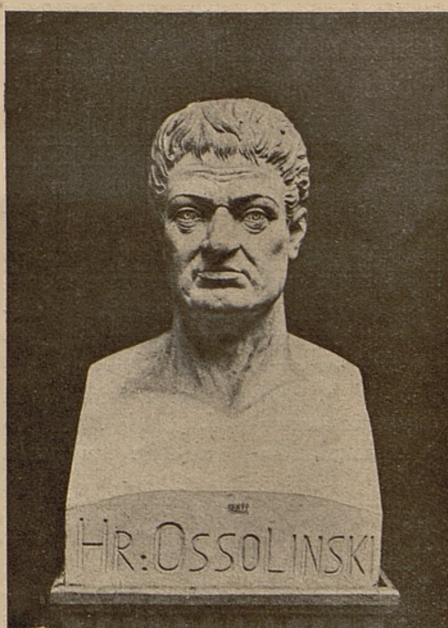
Zgnębiony nieszczęściami narodu, cofnął się w zacisze pracowni swojej wielki uczony i bibljofil; gromadził księgi co najcenniejsze i przekazał je następnie społeczeństwu, by z nich czerpało mądrość i hart na przetrwanie i byt nowy.

Przechowane w piśmie i drukiem utrwalone zabytki kultury polskiej, jakie zdołał zebrać drogą skrzętnych poszukiwań i olbrzymich ofiar pieniężnych, pomieścił Ossoliński w klasztorze dawnym Karmelitanek trzewiczkowych, którego ruiny nabył od rządu austrjackiego i odpowiednio przebudować kazał.

I zawrzał ruch w murach dotąd opustoszałych, rozstawiono księgi, inwentaryzowano je i katalogowano, dla posiłku czekających na otwarcie bibljoteki pracowników naukowych.

Jednak niełatwo szła praca, Zakład bowiem dzielił od zaczątku losy narodu. Prześladowania rządu zaborczego, co niechętnem okiem patrzał na tak silną zaporę germanizacji, przerywały na lata całe normalny bieg czynności. Dopiero ogłoszenie konstytucji w r. 1867 położyło kres uciskowi, umożliwiając rozwój bibljoteki i wydawnictw zakładowych.

W r. 1827, w chwili sprowadzenia do Lwowa, liczył księgozbiór 10.121 druków w 19.055 tomach, 522 rękopisów, 133 map i 1.445 rycin. W roku 1880, więc przeszło w pół wieku później rozrósł się do 75.665 dzieł, dzisiaj zaś po stuleciu niewiele brak do 180.000 dzieł skatalogowanych (około 60.000 czeka na rejestrację), wokoło 600.000 tomów, 5.770 rękopisów (oprócz 2.000 niezinwentaryzowanych), 1.750 dyplomatów, autografów 5289, 2.323 map i około 800 muzykaljów.



JÓZEF MAKSYMILJAN OSSOLIŃSKI
POPIERSIE DŁUTA CYPRJANA GODEBSKIEGO

Do tak znacznego rozrostu przyczyniły się dary niekiedy całych księgozbiorów i archiwów jak: Skrzyńskich, Nargielewiczów, Straszewskiej, Darowskich, Lubomirskich z Kruszyny, Eleonory z Hussarzewskich Lubomirskiej, Badenich, Włodzimierza Kozłowskiego, Jabłonowskich z Bursztyna, Luba-Radzimińskich, Skarbków ze szczątkami bibljoteki Aleksandra Fredry, Chrzanowskich z Moroczyna, a wreszcie Pawlikowskich z głośnej tyle Medyki. Te ostatnie dostają się do Ossolineum w r. 1921 jako całość odrębna i nienaruszalna, obejmują zaś 21.500 druków, głównie (18.789) poloników z zakresu historji, literatury i słowianoznawstwa, nadto znaczną ilość dyplomatów, autografów, rękopisów, map, numizmatów i bogatą, jedną z najświetniejszych w Polsce, kolekcję grafiki. Posiada ona 24.827 rycin, zbieranych celowo do r. 1850.

Bibljoteka Zakładu poszczycić się może zbiorem rękopisów, powstałym z darów i deponatów: Sapiehów z Krasiczyna, Lubomirskich, Mniszchów, Grabowskich, Ossolińskich, Stadnickich, Wasilewskich, Skarbków i innych. Pomieszczono też w zakładzie pełne archiwa m. Grodziska, Ormian Małopolski wschodniej, Towarzystw Gospodarczego i Sztuk Pięknych we Lwowie. Dział ten zdobią iluminowane rękopisy pergaminowe z XII i XIV w., autografy niemal wszystkich autorów polskich, z kobiet zaś Konopnickiej, Orzeszkowej, Żmichowskiej, Rodziewiczówny i innych. Perłę zbioru stanowi kolekcja prawie kompletna utworów Słowackiego. Z martyrologją narodową wiąże się rękopis wręcz osobliwy, niespotykany chyba i w największych bibljotekach. Jest nim „Zbawienie świata“, utwór mesjanistyczny Konstantego Słotwińskiego, dyrektora Zakładu. Skazano go w r. 1834 na ośmioletnie więzienie za wydrukowanie bez cenzury „Ksiąg pielgrzymstwa“ i pieśni patrjotycznych. Osadzonemu w twierdzy Kufsteinu odmówiono książek i przyborów do pisania, zezwalając jedynie na czytanie Biblji. Więzień sporządził sobie przeto rylec z kości i nim spisywał utwór swój niedostrzegalnie, na wolnych brzegach Pisma świętego.

Obok literatury naukowej, doprasza się szczególnej uwagi, wydzielony z całości, dział druków najstarszych, polskich i obcych, 230 inkunabułów, tj. druków XV wieku i około 5.000 dzieł z XVI wieku, dających obraz kultury

tejko (Unja Lubelska), Orłowski, Grottger, Kossak, Brandt, Pochwalski i inni. Do osobliwości należą: gabinet numizmatyczny i zbrojownia z nader rzadkiemi okazami. O wzroście zbiorów zaświadczą cyfry: gdy w r. 1828 było w galerji 67 obrazów, w r. 1927 jest ich już 1.200.

Jednakże samo udostępnienie zbiorów w Zakładzie szerokim kołom pracowników nie spełniało woli Fundatora. Pragnął on, by Ossolineum uczyniło się ogniskiem wiedzy, skąd promieniowałaby w najdalsze zakątki kraju. Zmontowano zatem drukarnię i podjęto wydawnictwa. Niebawem ukazuje się „Czasopismo Naukowe Księgozbioru Publicznego im. Ossolińskich“, wychodzące po przerwie kilkuletniej jako „Bibljoteka Zakładu im. Ossolińskich“. Pełnem światłem rozbłysła jednak działalność naukowa Instytutu dopiero za kuratorji Jerzego Lubomirskiego, gdy z jego to inicjatywy poczęto ogłaszać



FRONT GMACHU ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIEM OSSOLIŃSKICH

polskiej owego czasu. W zbiorze tym obok obcych, wspaniale iluminowanych, mieszczą się najwcześniejsze inkunabuły krakowskie z oficyny Hochfedera z r. 1475. O minimalnych też brakach mówić można w kolekcji wydań polskich z wieku XVI-go. Prócz Biblij, literatur: religijnej, prawniczej i filozoficznej, mamy tu Statut Łaskiego z r. 1506 z pierwszym przedrukiem Bogurodzicy i pierwsze edycje poetów wieku XVI-go. Przy Zwierzyńcu, Wizerunku, Postylli Rejowskiej stoją w zgodnym ordynku: Kochanowski, Janicki, Szymonowicz, Bielski, Skarga oraz inni. Wszystko to zaś zdobne w piękne oprawy skórzane, przeważnie z wieku XVI-go, spięte klamrami metalowemi, znaczone eks- i superekslibrisami. Najpiękniejsze z nich pochodzą z bibljoteki Zygmunta Augusta.

Nie odejdzie też od progów Zakładu badacz czy miłośnik sztuki, nie wzbogaciwszy się doświadczeniami, jakich dostarczy mu obficie muzeum Lubomirskich, wieczyście z Zakładem związane. Tu w galerji obrazów zatrzymują wzrok: Tycjan, Bacciarelli, Canalleto, Lampi, Ma-

materjały rękopiśmienne Zakładu w „Kodeksie Dyplomatycznym Bibljoteki Ossolińskich“. Pojawiły się „Roczniki“ dokumentów, „Monumenta Poloniae Historica“ i inne. Pod światłem kierownictwem obecnego dyrektora, którym jest dr Ludwik Bernacki, nie ustaje owa praca i dzisiaj, mimo ciężkie warunki



WIDOK OD ULICY KOPERNIKA



WNĘTRZE KSIĄŻNICY (I PIĘTRO)

ekonomiczne kraju. Dowodem wydanie takich dzieł jak „Monumenta Typographica Poloniae XV et XVI saeculorum“ Ptaśnika, „Pierwsza książka polska“ Bernackiego, „Philobiblion“ w przekładzie Kasprowicza, „Literatura mieszczańska“ Badeckiego, „Szkice historyczne i społeczne“ Bujaka, „Bolesław Chrobry“ Zakrzewskiego, że wymienimy tylko te najcelniejsze. Za trwałą zasługę poczytać też musimy krytyczną edycję Słowackiego w opracowaniu Kleinera i tegoż monografję o Słowackim. W roku jubileuszowym wskrzeszono również czasopismo p. t. „Rocznik Zakładu Narodowego im. Ossolińskich“.

Dzisiaj jak ongi koncentruje Zakład życie kulturalne. W salach jego czytelnianych gromadzą się liczne rzesze młodzieży studjującej i najpoważniejszych uczonych i literatów polskich. Obcy zaś, znalazłszy się w murach Lwowa, zawsze krok pierwszy kierują do Ossolineum.

Dr. Eugenja Kurkowa

ARTYSTKI POLSKIE W PARYŻU

WANDA CHEŁMOŃSKA

WANDA Chełmońska jest piękna, wysoka, wspaniale zbudowana, o ciemno złotych włosach. Możnaby rzec: Wenus renesansowa, tylko Wenus dobrze wysportowana. Harmonja jej ruchów idzie w parze z żywością i siłą jej ruchów. Bije od niej zdrowy temperament artystki, która obok swej sztuki żyje życiem normalnej kobiety, wszechstronnem i pełnem: jest matką, światową damą, sportsmenką i ciekawską życia.

Lubię patrzeć, gdy Wanda Chełmońska maluje, lubię jej entuzjazm i zapał. Pracuje z ogromnym rozmachem. Gdv coś nie idzie, to piękna pani nieomal że klnie, ale za to, gdy dobrze idzie, pełna jest bezpretensjonalnej radości i szczerej dumy. Nie znosi zarozumiałości, ale też brzydzi się fałszywą skromnością i obłudą względem samej siebie.

Mam często sposobność obserwować artystów. W Wandzie Chełmońskiej mile mnie uderza wiara w samą siebie i, powiedziałabym, zdrowy stosunek do swej sztuki. Nie spełnia ona żadnego obowiązku, nie czuje w sobie żadnego posłannictwa, lecz czyni to co jej wielka miłość do piękna czynić nakazuje.

Spadkobierczyni sławnego nazwiska, córka Jana Chełmońskiego, miała tylko pozornie przez to utorowaną drogę. Bo mimowoli nasuwa się sposobność do porównań, do mierzenia tą samą miarą dwóch różnych indywidualności twórczych. Tu porównania nie powinny mieć miejsca, choćby dlatego, że Wanda Chełmońska nigdy uczennicą swego wielkiego ojca nie była. Albowiem on, widząc w swem dziecku talent, uważał że należy uszanować jego właściwości i pragnął aby ten talent obrał sobie własną drogę. Nie był więc jej mistrzem.

Kształciła się w Paryżu, gdzie od najmłodszych lat mieszkała. Malarstwo francuskie nie wywarło na nią żadnego wpływu, wzięła od niego to co każdy artysta mieć przedewszystkiem winien, a co dzisiejsi plastycy tak zaniedbują: doskonałość techniki, ale zachowała własną fizjognomję i to bardzo wyraźną fizjognomję polską. Rzecz niespodziana w wychowance Akademji Sztuk Pięknych przy ulicy Bonaparte, naturalna w córce Jana Chełmońskiego.

Jeździła często do kraju, przebywała wiele na wsi i polskie tematy ludowe były zawsze ulubionemi jej tematami. Podobnie zresztą jak i dla jej ojca. Inaczej je jednak traktuje zarówno co do ducha, jak i co do formy. Zresztą sam stosunek do tego tematu jest zgoła inny. Widać, że to są dwie zupełnie różne indywidualności i że lata przeszły, niosąc ze sobą nowe sposoby patrzenia i nowe sposoby odczuwania. Dwa różne, dalekie już od siebie, choćby węzłami krwi złączone pokolenia, przedwojenne i powojenne.



WANDA CHEŁMOŃSKA

Nie miejsce tu i nie moje zadanie mówić o tem czem dla swej epoki był Jan Chełmoński i czem na zawsze pozostanie dla sztuki polskiej. Zaznaczywszy że córka idzie własną drogą, będę dalej zajmować się nią jedynie.

Wanda Chełmońska jeździ wiele bardzo po Polsce, bada nie jak etnograf, ale jak artysta, właściwości różnych jej dzielnic, maluje typy ludowe, zarówno jak sceny z życia ludu. Lubi zabawy i barwne stroje tancerek, lubi procesje, nabożeństwa, wnętrza naszych wiejskich kościółków, ołtarze w dymach kadzidlanych, rozmodlenie ludu. Jeśli chodzi o twarze, to charakterystyka więcej ją pociąga aniżeli piękność, nie ma kobieco mdłego sentymentu w odnoszeniu się do życia wiejskiego, ale ma inny przywilej kobiecy, umiejętność chwytania wdzięku tam gdzie go oko zwykłego widza nieraz dojrzeć nie jest w stanie.

W roku 1925 Wanda Chełmońska urządziła swą zbiorową wystawę w Paryżu, wystawa ta cieszyła się powodzeniem i jeden z obrazów został nawet zakupiony do Luksemburga. W roku bieżącym, w maju, artystka zamierza znów pokazać Paryżowi swój dorobek twórczy, a następnie urządza wystawy w kraju, kolejno w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu.

Jakkolwiek obecnie W. Chełmońska stale we Francji nie mieszka, należy ją jednak traktować jak jedną z polskich malarek, pracujących na paryskim gruncie. Czuje że z niego wyszła i czuje się silnie związaną ze stolicą świata. Tu, jak mówi, najlepiej się jej pracuje, tu kończy obrazy zaczęte w kraju, stąd czerpie natchnienie do nowych prac. „Miasto-światło" jest też jednym z jej ulubionych tematów. Ostatnio widziałam w jej cichej pracowni przy ulicy „Villa Brune" bardzo ciekawy obraz, przedstawiający wnętrze nowo otwartego, naturalnie bardzo drogiego i naturalnie rosyjskiego kabaretu „Casanova". Pije się tam szampan (300 franków butelka) w ślicznie rżniętych i ślicznie dzwoniących kieliszkach. Cisza, ktoś śpiewa, zawodzi rosyjskie piosenki. Cały efekt polega na



WANDA CHEŁMOŃSKA — CYGANKI



WANDA CHEŁMOŃSKA — ŁOWICZANKI

grze świateł, wciąż inne światła wydobywają się z pod podłogi. Magja różnokolorowa: koralowa, turkusowa, złota...

Żałuję ogromnie, że Wanda Chełmońska, która wiele i bardzo dobrych portretów zrobiła, nie lubi siebie malować. Wielka to szkoda, bo zadowolić się musimy jej fotografją, a wiadomo, że fotografja potrafi zbanalizować najpiękniejszą i najoryginalniejszą kobietę.

— Czem jest sztuka dla Pani? — pytam kiedyś — gdy chwalimy sobie o sztuko „Twoje wszytkie I zabawy i pożytki".

— Sztuka to jest okno, przez które patrzę na świat — odpowiada artystka bez emfazy — nie jak wzniosłą, sztuczną, bezduszną sentencję, ale z prostotą: jak się zawsze mówi to co jest najgłębszem naszem przekonaniem.

Śmieję się:

— Żaden może „fach" tyle co nasz nie daje przykrości i nie sprawia tyle zawodów. Ale mają one tę dobrą stronę, iż pochodzą od ludzi. Radości, jakie nam sztuka daje, pochodzą od nas, płyną z nas samych i są przedewszystkiem dla nas. Sztuka ma też tę dobrą stronę, że daje wieczną młodość duszy, a przez to i przedłuża młodość ciała.

Obie bardzo się cieszymy z tej tak miłej właściwości sztuki.

Malibran (Paryż)

ODPOWIEDŹ NA LIST DO POLSKIEJ PANI

DROGI PANIE! — Niech nagłówek nie wzbije Pana w dumę, bowiem każdy adorator jest drogi. Fakt, z którym trzeba się pogodzić — i nie tracić humoru, bo to na adorowaną zniechęcająco działa. — Adorator może być również miły. Ale nie każdy nim bywa. — Warunki?

Inteligencja, bystra obserwacja i chwytanie wlot wszystkiego co przemawia na korzyść Pani. Wartości zewnętrzne, intelektualne, wszystko jedno, byle je dostrzegł, ocenił, podniósł do kwadratu, ach nie, może lepiej do sześcianu i — o, sztuko najwyższa ze wszystkich — umiał to podać nie w formie pochwały, lecz w obojętnej rozmowie zaznaczył jako coś, co jest niezachwianym faktem, nie dopuszczającym jakiejkolwiek dyskusji. Tak to spokojnie i beznamiętnie wypowiedzieć trzeba, ażeby słuchająca uwierzyła i sama wzruszyła się własnym urokiem, czy też jakąś rzadką swoją wartością. — Pan to czasem potrafi.

Więc mnie to szczerze raduje, że nie zatracił Pan w okresie dłuższego pobytu między Niemcami tych właśnie zalet, które, my, Polki, cenimy u mężczyzn. Nie chodzi tu, oczywiście, o jakiś zdecydowany flirt, lecz o zwykłe, miłe obcowanie towarzyskie, któremu wykwit kultury, uprzejmość, dodaje tyle niewinnego uroku.

Drobne grzeczności, czujne spojrzenia, łagodne gesty, usunięcie egoistycznych względów w cień wytwarza miłą atmosferę, która pozwala rozbłysnąć różnym talentom towarzyskim. A te talenty, jakże są rzadkie i jak niezmiernie ważne w zetknięciu się człowieka z człowiekiem, w podtrzymaniu zajmującej konwersacji.

List Pański ubawił mnie mile i przywiódł różne wspomnienia z pobytu w Niemczech.

Tak, one i oni są takie i tacy jak Pan opisuje. Trudno, istotnie, żyć nam między nimi, a jeszcze trudniej z nimi. Ustawicznie potyka się człowiek o rzeczy, od których radby być jak najdalej, odbić się szybko, jak elastyczna piłka, i nawet myślą nie wrócić.

Pewna staruszka, Niemka, z którą ten temat swobodnie raz poruszyłam, zadecydowała filozoficznie: „Ihr seid, halt, andere Menschen" (inni z was ludzie). Oczywiście, myślała o niższości naszej rasy, była łagodnie wyrozumiała wobec nas i niezmiernie dumna ze swej definicji.

W Berlinie źle się czułam, to jest może nie tyle źle, bo krótko byłam a dużo zwiedzałam, ile nieswojo. Dziwne uczucie — jakby na czczo. Czegoś za mało, czegoś za dużo. Brak uprzejmości, którą zaliczam do najszacowniejszych cnót towarzyskich, przedziwnie upraszczających obcowanie z ludźmi, a którą oni gardzą. Mówią o niej, że jest poniżej godności, i widzą w niej gest „płaszczenia się". Jest to w tym kierunku najuboższy z narodów na świecie, zubażający się dobrowolnie i pozbawiający się wielu miłych, jasnych chwil. Niemiec chce mieć za wszystko realną zapłatę, w uchwytnej monecie. A czyż uśmiechy przelotne, zdolne rozjaśnić duszę momentalnie, są czemś uchwytnem, czemś co można zwaloryzować na brzęczącą lub szeleszczącą monetę? Czyż kurs ich bywa notowany na giełdzie?

Nie — zapewne, a tem samem są dla tego praktycznego narodu bezwartościowe.

Opis tamtejszych sposobów nawiązywania znajomości między mężczyzną a kobietą nie dziwi mnie wcale. Znam je; spędziłam kilka lat w Niemczech.

Ale Pana zapewne zdziwi u polskiej pani to co od niej teraz usłyszy; korci mnie ten temat, poruszony przez Pana, jako dobra sposobność do szczerego wypowiedzenia się w tym względzie, przyczem zaznaczam, że niemieckie maniery wyłączam, jako nienadające się wogóle do dyskusji.

Gdy mężczyzna zauważy jakąś kobietę, wyróżni ją wśród innych, pragnie by ona to dostrzegła. Ilu mężczyzn, tyle sposobów (brutalni zawodowcy uliczni nie wchodzą tu w rachubę). Usiłuje więc wówczas mężczyzna powiadomić kobietę o swem zainteresowaniu w sposób, który mu dyktuje jego temperament, stopień inteligencji, wychowanie itp. Jakkolwiek bądź to czyni, delikatnie czy nieudolnie, zawsze motywem czynu jest, do pewnego stopnia, chęć złożenia hołdu wdziękowi czy urodzie.

Był czas, w którym oburzały mnie takie rzeczy zupełnie poważnie i reagowałam na nie, jak dziś to widzę, niemądrze. Po pewnem zabawnem zdarzeniu — obecnie myślę o niem z uśmiechem — rozgoryczona „obrazą godności kobiecej" wyładowałam swoje żale przed mądrym, znającym życie, człowiekiem, który oświetlił mi tę sprawę wówczas z innej strony. Przyznaję, bez fałszywego wstydu, że po owej dyskusji zmieniłam swoje poglądy, do których wprowadziłam nieco — logiki.

Czemuż to bowiem gniewać się o coś, co w rzeczywistości jest pochlebne? O to, że się komuś podobamy? Nie ma powodu przecież. Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, woli chyba zrobić na kimś korzystne wrażenie, aniżeli niemiłe, woli czuć, że jest raczej pociągający, aniżeli odpychający. Kobieta zresztą wyczuje natychmiast, czy została zauważona sympatycznie, czy antypatycznie, czy też pozostała wogóle niedostrzeżoną. To ostatnie uważa za obelgę — niestety, towarzysko dopuszczalną i nie karaną — i raczej woli już antypatję, aniżeli obojętność.

A skoro rzeczy tak stoją — pobłażliwość, pełna rezerwy, jest chyba na miejscu?

Spostrzegam w tej chwili, że właściwie nie odpowiadam na list Pański w całości, lecz na marginesie jednej uwagi snuję swoje myśli. Nie niepokoi to mnie jednak wcale, gdyż dokładne przejście w odpowiedzi listu Pańskiego nie przyniosłoby Panu niczego nowego. To uspokaja moje sumienie.

Nic Pan nie pisze o Sobie. A to nieładnie, bo prywatne listy są na to, by je nieco zabarwiać nutą osobistą.

Mój warstat pracy Pan zna; nic się tu nie zmieniło. Pracę swoją kocham i cieszę się nią, jak czemś radosnem, twórczem, mocnem; pracę, odpowiadającą danej indywidualności, uważam za jeden z najcenniejszych darów losu.

Pozatem jest kawałeczek życia familijnego, społecznego, towarzyskiego; są próby dokształcania się. Są miłe troski o estetyczny wygląd znikomej powłoki ziemskiej, bardzo miłe i bardzo czas absorbujące troski. — Narazie tyle o sobie.

A Pan, jakie ma plany najbliższe, jaki następny etap podróży?

Ślę Panu same dobre myśli i uśmiech

***

O ZACHODZIE SŁOŃCA

...I wyobraź sobie moją rozpacz: w gąszczu mych puszystych blond włosów znalazłam dziś srebrną, sztywną, obrzydliwą nitkę... Ach, droga moja, czy to już starość, ta potworna, odrażająca starość, której tak śmiertelnie się lękam?

A jeżeli starość?

Uśmiecham się nieco drwiąco, trochę smutno i bardzo ciepło, czytając twe słowa, Maleńka.

A jeżeli starość? Czy wiesz, ty przecudny, niemądry, wieczysty podlotku, czem dla kobiety jest starość?

Otwierasz szeroko swe oczy zielone jak Atlantyk, niebezpieczne jak Murzyn w dobrze skrojonym fraku dla sześćdziesięcioletniej paryskiej piękności, upajające jak pierwszy pocałunek i myślisz: „Tragedją. Czemże innem może być starość, jak nie najkrwawszą tragedją kobiecego serca, rodzajem straszliwej, bo połowicznej, śmierci, po której trzeba żyć pod obojętnem spojrzeniem mężczyzn, pod triumfującym wzrokiem młodych, kochanych i pożądanych kobiet?"

Pochyl blisko mych ust twoją zbyt starannie ondulowaną i pachnącą szamponem Atkinsona główkę, a powiem ci cichutko pewną cudowną, wprost oszałamiającą prawdę, czem naprawdę jest dla kobiety starość. Zamknęłaś oczy, by prawdę tę usłyszeć w skupieniu. Twoje umiejętnie uczernione rzęsy drżą z niecierpliwości. Niedowierzanie wyżłobiło maleńką zmarszczkę na twem pracowicie wymasowanem czole i szkic na sceptyczny uśmieszek w kącikach ust zmysłowych, a zarazem w kształcie tak dziecinnych. Masz w tej chwili lat dwadzieścia i jesteś tak śliczna, że wszystkie twoje „najserdeczniejsze przyjaciółki" pozieleniałyby z zawiści, a twój własny mąż połknąłby cię żarłocznie, jak lew połyka małe, bezbronne jagnię...

Otóż zdradzę ci ten bezcenny sekret, który niedawno wydarłam pewnej pięknej, srebrnowłosej angielskiej damie o zmierzchu, gdy pałające pożarem słońca afrykańskie niebo gaśnie w najcichszej, najczarowniejszej smudze ametystu, gdy święte bociany zasypiają wśród lekkich kolumienek minaretów, gdy arabskie kobiety stroją się na przyjęcie powracających mężów w naszyjniki ze świeżych kwiatów jaśminu i nacierają swe smagłe ciała olejkiem różanym, a zęby korą dębową, by lśniły w miłosnych uśmiechach białością młodych, wonnych migdałów.

Piłyśmy przepyszną, aromatyczną herbatę na tarasie, leżącym na dachu białej willi maurytańskiej. Młoda Murzynka chłodziła nas olbrzymim wachlarzem z różowych strusich piór. Arabski chłopiec grał gdzieś blisko na flecie jakąś prostą, niewymownie uroczą melodję.

Zimne, przepiękne oczy angielskiej damy spojrzały na mnie uważnie i padło pytanie, wypowiedziane lekko z uśmiechem:

— Wszak prawda, że pani nie lęka się starości?

Patrząc prosto w badawcze oczy, odpowiedziałam wesoło:

— Ani trochę. Czekam na nią, jak na miłego gościa. I przyznaję się, że czekam z pewną dozą ciepłej, życzliwej ciekawości...

Piękna, srebrnowłosa dama skinęła przyjaźnie głową.

— Te współczesne kobiety chore są na jakiś „potworny, kollektywny szał. Chcą za wszelką cenę pogwałcić naturę i nie starzeć się. Doznaję wrażenia, że jak Faust sprzedałyby Mefistofelesowi za młodość swą duszę, gdyby ją posiadały. Ale te biedaczki chyba duszy nie mają, gdyż gdyby ją miały, odczułyby jakie nęcące perspektywy, jakie skarby i niespodzianki kryje w sobie starość.

Z wyłożonego błękitną mozaiką patio przywiał zapach rozprażonych całodziennym upałem róż, jak westchnienie pełne upajającej słodyczy. I cicho, srebrzyście szemrała fontanna w olbrzymiej, antycznej czarze z marmuru.

— Jako żona dyplomaty od najwcześniejszej młodości musiałam być ciągle „pod bronią" — mówiła srebrnowłosa pani, bawiąc się w zamyśleniu różowemi perłami swego naszyjnika. — Zawsze *la grande toillete*, zawsze maska zrobiona z uśmiechów, obowiązująco miłych słówek, spojrzeń pełnych czujnej uprzejmości. I w dodatku, doprawdy, niewiadomo dlaczego — przywiędłe, jak płatki jesiennych róż, powieki opadły skromnie na oczy — przyczepiono mi etykietkę profesjonalnej piękności, a taka etykietka nakłada poważne obowiązki, nieprawdaż? I życie moje upływało — zamiast w miłym, pełnym światła i ciepła domu, u boku ukochanego i kochającego męża — na nieustannych recepcjach, balach, fajfoklokach, oficjalnych spektaklach, zabójczo nudnych wizytach i konferencjach w pracowniach wielkich dyktatorów mody. Najczarowniejszem mojem marzeniem były samotne z mężem wieczory, kiedy w blasku płonącego w kominku ognia czyta się mądrą i piękną książkę, kiedy oczy spotykają się w ciepłem, wiernem spojrzeniu, mówiąc: „O jakże jestem szczęśliwa... Jaką cudowną pełnią żyje moje serce przy twojem sercu"...

— Zaznaczyłam już, że moje małżeństwo opromieniała wielka, wzajemna miłość. Męskie hołdy bolały mnie i obrażały. Doznawałam zawsze wrażenia, że mężczyzna, wyznający mi choćby tylko wzrokiem swoją namiętność, haniebnie znieważa nazwisko człowieka, które noszę z dumą i miłością i którego honoru muszę strzec, jak świętości. A pani wie, że w lśniących przepychem salonach, czy w smrodliwych suterenach kobieta jest rodzajem zwierzyny, na którą poluje mężczyzna, różniąc się tylko doborem środków, słów i gestów. Choć dziś — srebrnowłosa pani leciutko wzruszyła ramionami — zwierzyna sama szuka myśliwego, psując mu rozkosz bezużytecznego już polowania...

— Istotnie — wtrąciłam i uśmiechnęłyśmy się jednocześnie.

— Dzisiejsza dama, „ubrana w odrobinę pudru", jak ją świetnie określił Vautel, w niczem nie przypomina płochliwej, dzikiej sarny, o przerażonych oczach i mocno bijącem z trwogi sercu...

— Otóż już w trzydziestym roku życia byłam śmiertelnie znużona moją egzystencją, w czterdziestym stałam się melancholiczką i dopiero w czterdziestym piątym przyszłość uśmiechnęła się do mnie łaskawie i obiecująco. Uśmiechnęła się srebrnym uśmiechem swoich skroni, które nareszcie posiwiały... Płakałam z radości. Biegałam od lustra do lustra, zapalałam wszystkie lampy, by nasycić wzrok tym pierwszym zwiastunem starości, a więc — wypoczynku i spokoju. Okrzykiem szczęścia powitałam pierwszą linję zniekształcającą mój „posągowy", jak mówiono, podbródek, zapowiedź „gęsich łapek" w kątach oczu przyjęłam burzą entuzjazmu, a tę bruzdę biegnącą od nozdrzy ku ustom, wyżłobioną dwudziestopięcioletnim „dyplomatycznym" uśmiechem, pieściłam końcami palców, jak greckie miłośnice pieściły wykute w marmurze profile ich znakomitych kochanków, zdobiące place publiczne...

— I naprawdę poznałam smak szczęścia dopiero wówczas, gdy za memi plecami posłyszałam melancholijne szepty mężczyzn i radosny syk kobiet: „Jakże ta biedaczka się postarzała! A tak niedawno jeszcze była najpiękniejszą kobietą Anglji"... Ach, tak cudowny, niezapomniany dzień, gdy zostałam pasowana na „starszą panią", gdy krawiec z własnej inicjatywy zmniejszył przepastny dekoltaż moich balowych toalet, gdy danser, zmrożony srebrnym uśmiechem mych skroni, nie sapał mi już w ucho jak lokomotywa i nie jęczał: „Lady Diano, pani jest tak piękna!"... Ten dzień, w którym istota jeżdżąca

zawsze limuzyną może nareszcie wyjść sama na ulicę, wmieszać się w falującą, tętniącą wieczorną gorączką Niagarę ludzi i świateł, przystanąć przed afiszem czy wystawą i nie usłyszeć tego charakterystycznego, idjotycznego chrząkania, którym niewybredny łowca ulicznych awanturek atakuje każdą samotną i niebrzydką kobietę...

Ten dzień, w którym w jakimś gwarnym salonie nie trzeba już królować, olśniewać, czarować, ale można sobie usiąść gdzieś w kącie z filiżanką dobrej herbaty i patrzeć z pobłażliwą ironją na nieskomplikowaną grę ludzkich marjonetek, na ich słabostki, próżnostki i namiętnostki, na ich zamaskowaną a zaciekłą walkę o władzę, o kobietę, o order, tytuł czy brylantowy naszyjnik... Ten dzień, dzień niezapomniany, w którym mąż mi powiedział: „Czas nam odpocząć, Diano... Wycofuję się właśnie z dyplomacji“... I to zupełnie dziewczęce bicie serca, gdy przed oczarowanemi oczami zajaśniała, jak urocza, wyśniona wizja — perła piękności świata — panorama zatoki Neapolitańskiej i gdy drogi głos szepnął: „Wydaje mi się, Diano, że to nasza podróż poślubna“...

Przepiękne, głębokie oczy zasnuła błękitna smuga cichej, szczęśliwej zadumy. Po chwili srebrnowłosa dama mówiła znów, patrząc na leżące u naszych nóg białe miasto arabskie, inkrustowane polichromją meczetów, dyszące gorzką wonią kwitnących gajów migdałowych.

— Nigdy nie zapomnę pewnej pary, którą przed laty poznałam w Rzymie. Była to Eleonora Duse i d'Annunzio. Szczupła, wątła sylwetka w prostej, obcisłej z długim trenem sukni z czarnego aksamitu. Jakże przecudna była owa moda, która czyniła z kobiety wytworną amforę etruską, posąg antyczny, gibki, strzelisty kwiat... Duse miała zupełnie siwe włosy, zwiędłą, znużoną twarz i niemal zagasłe, tragicznie piękne oczy. A jednak kochał ją do szaleństwa ten najwytworniejszy z poetów miłości, ten najbardziej wybredny znawca piękności kobiecej, ten przerafinowany esteta, który swą namiętność ku wielkiej tragiczce zamknął w najbardziej chyba płomiennej ze swych książek: „Il fuoco“.

Szepnęłam cicho:

— Ale Eleonora Duse miała duszę...

— I to właśnie jest takie zawrotnie, upajająco piękne w życiu nas, kobiet o siwych włosach. To właśnie jest naszym olbrzymim triumfem, wobec którego t. zw. „zwycięstwa“ młodych kobiet są blade i nic nieznaczące. Kocha się nas nie dla naszej cielesnej piękności, która zgasła, nie dla naszych pocałunków, które zbladły, jak szkarłat naszych ust, ale dla tych wszystkich słodyczą melancholji przesyconych kwiatów, które wykwitają w naszem sercu *o zachodzie słońca*. Nie jesteśmy już kochankami, a stajemy się dla mężczyzny czemś stokroć cenniejszem, piękniejszem i ważniejszem — wiernym przyjacielem, dzielnym towarzyszem, z którym razem idzie się odważnie w ciemną, posępną noc śmierci...

— Jesteśmy jak te swawolne czarodziejki, które w noc księżycową, pełną odurzających, miłosnych woni, zawiodły swych ukochanych między marmurowe kolumny wysłanych kobiercami pałaców z fata-morgana, pałaców pełnych świateł, muzyki i kwiatów, by o świcie wrócić w znużeniu do skromnego, cichego domu, gdzie tak słodko jest wypocząć po bezsennej nocy szalonej biesiady.

— Żal mi kobiet, które uciekają ze zgrozą od starości. Są jak żebraczki, które chcą naprożno osłonić swą odrażającą nagość strzępem wypełzłego szkarłatu. Nie wiedzą ile patetycznej, wyniosłej i przebogatej treści ma w sobie starość, ta cicha, mądra, piękna starość, której majestat uczcił i unieśmiertelnił starożytny Rzym w przepysznych posągach dumnych matron.

— Młodość — uśmiechnęła się piękna, stara dama — podobna jest do nieco pijanej bachantki z fresków pompejańskich, pląsającej z wyzywającą, niedbałą gracją w radosnym szale winobrania. Ma czoło uwieńczone różami i tunikę pełną hiacyntów, które rozrzuca w dzikiem, rozkosznem upojeniu. Ale oto bachanalja skończona. Ze znużonej dłoni wypadł ostatni kwiat. Zgasło słońce. Rozpierzchł się kolorowy, radosny tłum. I z oczu bachantki spłynęły pierwsze łzy. Jest tak samotna i tak trzeźwa... I wówczas cicho mówi do niej dusza, która milczała w dionizyjskim szale pląsów: „Dlaczego płaczesz? Przecież jestem. Podczas gdy tańczyłaś w wieńcu róż, ja czuwałam. Wiem, że jesteś głodna. W stubarwnej bachanalji miałaś tylko śmiech, taniec, wino i kwiaty. Nie dano ci chleba, ani owoców. Oto chleb, oto owoce. Czuwałam. Wiedziałam, że gdy zwiędną róże, gdy zabraknie wina, gdy zmilknie muzyka, zgaśnie słońce, ogarnie cię w ciemności strach, głód i samotność. Ale oto jestem ja — twoja dusza. Oto chleb łagodnej, pełnej dobroci mądrości, oto owoce słodkie i rzeźwiące — Cisza, Spokój i Myśl, która jest rozkoszą, potęgą i światłem“...

— — — — — — — — — — — — —

Srebrna panorama Atlasu o szczytach pokrytych wiecznym śniegiem spłonęła gorącym odblaskiem zorzy wieczornej. Ostatnia smuga fioletu zagasła nagle na głębokim szafirze nieba.

Młoda Murzynka złożyła wachlarz z różowych piór i wyszła cicho, dzwoniąc bransoletami rąk i nóg, tajemnicza i dziwaczna w swych szkarłatnych pantalonach i zielonym kaftanie, tkanym w złote kwiaty.

Głowa pięknej, starej damy opadła lekko na oparcie roocking-chair'u i zgubione w kojącej zadumie oczy szukały gwiazd. Błękitny mrok przesycał zapach subtelny i czarujący, jak nieśmiała pieszczota.

Pomyślałam, że tak pachną na pewno owe tchnące słodyczą melancholji kwiaty, które w sercach kobiet rozkwitają późno, *o zachodzie słońca*, gdy skronie ich uśmiechają się srebrzystym uśmiechem bezbolesnej, mądrej starości...

Helena Filochowska (Fez)





CHELIDON

I.

PROKONSUL spojrzał na stojącą przed nim dziewczynę.
— Jak się nazywasz?

Dziewczyna obejrzała się najpierw wokoło, ale widząc że nikt obok ani za nią nie stoi, rzekła:

— Chelidon*.

— Któż cię nazwał jaskółką? Czy zawsze się tak nazywałaś?

— Zdaje mi się że nie zawsze. Moja matka wołała mię inaczej. Moja matka była z Kos. Ale tak nazwał mię ten co mię kochał. Mówił do mnie: Chelidon lub Chelidonion.

— Kto jest twoim kochankiem?

— Nie wiem.

— Jakto, nie znasz swego kochanka?

— Nie, przecież kochanek to serce, czyjeś cudze, obce serce. Tak trudno znać własne serce, jakże więc można znać cudze?

— Wiesz że nie o serce pytam, ale o imię. Jak się nazywa twój kochanek?

— Nie wiem.

— Przecież chyba mówiłaś z nim. Jakże więc mówiłaś do niego?

— Dzień. Nazywałam go: Dzień.

Prokonsul zmarszczył brwi:

— Rozumiesz, powinnaś rozumieć że to nic nie znaczy. Odpowiadaj, jak się odpowiada przed sądem.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i lekko przesunęła palcami po marmurowej przegrodzie, oddzielającej trybunał prokonsula od reszty sali.

— Ja nie wiem, jak się odpowiada w sądzie. Nigdy tu jeszcze nie byłam.

— Dobrze. Nie chcesz zdradzić kochanka. Sami go znajdziemy.

— O! — zdziwiła się — a jakże znajdziecie, skoro ja nie wiem, gdzie on jest.

— Bądź spokojna. Nie twoja sprawa. Jesteś oskarżona o kradzież naszyjnika. Powiedz jak z tem było?

— Niewiele już pamiętam. Zabrano mi mój naszyjnik ametystowy i cóż mogę o nim wiedzieć. Jeszcze wczoraj, rano, miałam go na sobie. Byłam nad morzem, przy skale Córki, byłam naga i tylko naszyjnik włożyłam do kąpieli. Słońce było całe ametystowe.

— To już wiemy, bo cię tam znalazł strażnik.

— To strażnik powiedział ci, panie, że słońce było ametystowe? O, nie, panie, on kłamie, on nigdy słońca niewidział.

Cała sala sądowa się śmiała. Prokonsul się niecierpliwił. Przez chwilę czuł w sobie myśl, która wydała mu się niemożliwą: że sam jest śmieszny, okrutnie śmieszny na swym marmurowym fotelu, w todze obszytej purpurą, z liktorami stojącymi w tyle.

— Chelidon — odezwał się bardzo łagodnie — nie mów takich rzeczy. Powiedz poprostu, kiedy i jak ukradłaś naszyjnik.

— Skoro ty, panie, mówisz, że ukradłam, to widocznie tak się tu mówi. Ale mnie się zdaje, że ja tylko odebrałam to co było moje. To właśnie ta tłusta kobieta z ulicy Zegara Słonecznego ukradła mi naszyjnik ametystowy, kiedyś, może bardzo dawno, gdy byłam jeszcze dzieckiem i potem zapomniałam, a może już później tak, że tego nie zauważyłam. Tak, na pewno tak było: nie myślałam o tem. Aż w ten ostatni wieczór pełni spostrzegłam mój naszyjnik w jej ogrodzie, na stoliku. Księżyc tak się przelewał przez ciemne kamienie, jakby to moja własna dusza chodziła wśród ich kryształków. Wtedy, oczywiście, zabrałam go ze sobą.

— A cóżeś ty robiła nocą w cudzym ogrodzie?

— Nie rozumiem cię, panie. Nocą niema cudzych ogrodów. Może za dnia rozchodzą się one po domach, jak ludzie do swych zajęć, ale w nocy? W nocy ogrody nie słuchają ani murów, ani bram, ani zamków. Gdy nie jestem gdzieindziej, jestem u nich.

— Sama tak chodzisz po ogrodach?

— O nie! Często przychodzą inni, prawie zawsze jest i księżyc, a morze to tylko zdaleka nas pozdrawia.

Prokonsul przesunął ręką po czole i poczuł na niem kroplę potu. Wyprostował się w swem krześle i powiedział parę zdań po łacinie. Jeden z żołnierzy wystąpił z szeregu, by wyprowadzić dziewczynę do więzienia.

II.

Chelidon przeszła przez sień domu prokonsula. Odźwierny wskazał jej drzwi do atrium:

— Idź prosto przez wszystkie pokoje aż do peristylu — i wrócił do swej izby.

Dziewczyna stanęła w atrium. Było szerokie i jasne. Przez otwór w pułapie błękitniało niebo. W sadzawce w pośrodku pokoju biła fontanna z otwartego bukłaka, który trzymał śmiejący się Satyr. Z przyległego tablinum wyszedł prokonsul. Wziął ją za rękę:

— Chodź. Nie mogłem się ciebie doczekać w peristylu.

Peristyl był przestronny, otoczony białemi kolumnami, po których bluszcz się czołgał. Ogród kwitł w dobrym cieniu starego, szerokiego cedru. Usiedli na kamiennej ławce. Prokonsul z boku patrzył na przybladłą twarz dziewczyny i na jej białe dłonie o długich palcach, leżące płasko i w bezruchu na równie nieruchomych udach. Chelidon kilka razy odetchnęła głęboko. Oczy podniosła ku górze. Patrząc przed siebie, poprzez gałęzie cedru, mówiła:

— Dziękuję ci, panie. Ty chyba nigdy nie byłeś w więzieniu. Bo jeślibyś tam był, jeślibyś przesiedział tam jedną noc i jeden dzień, nie mógłbyś już nikogo więcej posłać do więzienia. Tam się o niczem nie wie. Nie wie

* Chelidon znaczy po grecku jaskółka. Należy to imię wymawiać z akcentem na ostatniej zgłosce.

się, czy rybacy ściągnęli już sieci, które rozwiesili z wieczora, czy winnice za miastem dojrzewają, czy rzeka płynie i czy gołębie przelatują, gubiąc pióra nad stawem. A jakże bez wiedzy o tych rzeczach żyć można? Sądzę, że więzienie jest śmiercią, a ja tylko szczęśliwą Eurydyką, której udało się ujść śmierci. Wróciłam, bo ty kochałeś mię lepiej niż Orfeusz Eurydykę i nie obejrzałeś się ku mnie, gdyś mnie wyprowadzał z ciemności.

— Skądże ty wiesz, że ja cię kocham?

— Tak myślę.

— Ale przecież nie ja ciebie wyprowadziłem.

Chelidon zaśmiała się:

— Chyba nie powiesz, że wyprowadził mnie strażnik, który sam jest cieniem. Ty, tylko ty i twoje słowo, które przyszło o kilka chwil wcześniej od ciebie.

Z krużganka wyszedł niewolnik. Postawił przed nimi mały trójnóg, na nim był kubek wina, dwie czarki i ciastka. Chelidon dotknęła palcem jedno ciastko:

— O widzisz, jest i ciastko, ciastko z miodem dla Cerbera. Rzucę je w krzaki, może jeszcze po nie przyjdzie.

Prokonsul nalał wina i podał czarkę dziewczynie. Wzięła ją z jego rąk, zajrzała w głąb małego srebrnego naczyńka:

— Tak jak trzeba, czyste, nie zmieszane z wodą.

Wstała z ławki i uśmiechając się patrzyła ku niemu. Nigdy dotychczas nie widział jej oczu. Były jasne. Podniosła czarkę do góry:

— Witaj mi, ziemio, i słońce, witajcie wszyscy bogowie. Dla was odlewam z tej czary kilka kropel wina niedotniętego wodą. Tak postanowiliście sami. Ale dla was bogowie nieznani, dla was, którzy przyjdziecie, którzy już nadchodzicie — wylewam całe to wino, bo nie znam waszych praw i zwyczajów.

Prokonsul wypił tymczasem swoją czarkę. Dziewczynie nalał drugą.

— Pij, Chelidon, i powiedz, o jakich to bogach mówiłaś.

Chelidon piła wino i jadła ciastka. Wypiła jeszcze jedną czarkę. Była wesoła i rumiana.

— Świat jest pełny bogów. Nikt nie wie, ilu ich jest, jak nikt nie policzył wszystkich umarłych. Bogowie rodzą się w każdy dobry dzień, a nie umierają nigdy. Myślę, że ich jest więcej niż ludzi. Teraz, w tej chwili może przyjść jakiś bóg nowy. Jestem zawsze gotowa go powitać. Wszystkie drzewa mają gotowe dla mnie wieńce.

Nagle przybliżyła się do niego:

— Panie, czy ja znów pójdę do więzienia?

Prokonsul pochylił jej głowę ku sobie:

— Nie, Chelidon, tu zostaniesz.

— Zawsze?

— Jak długo sama zechcesz.

III.

Chelidon wbiegła do peristylu. Białe kolumny pożółkły od zachodniego słońca. Wijący się po nich bluszcz miał listki z bronzu. Pod dwoma laurami pulchny Erosek z marmuru tryskał wodą. Prokonsul wołał za dziewczyną. Gdy pochyliła się, aby zawiązać tasiemkę sandała, przybiegł i objął ją całą. Odsuwała go lekko, potem coraz silniej, nakoniec wyślizgnęła mu się z ramion,

— Odchodzę już, panie — zawołała, jakby zdaleka, chociaż stała zaledwie o kilka kroków.

— Dokąd? poco?

— Odchodzę.

Prokonsul zbladł.

— Po trzech dniach odchodzisz? Dlaczego?

Te słowa rozsunęły przed nią rzeczywistość tak, jakby to były splątane gałązki, które czyjeś ręce mogą odchylić. Zamiast przedwieczornego ogrodu, powstał ów z ubiegłej nocy o różach spłakanych rosą. Wróciła pamięć tej osobliwej chwili, kiedy ze wszystkich uśpionych przedmiotów dokoła jej piętnastu lat, obudził się kochanek. Był na podobieństwo samej nocy: nieobecny i wielki. Powiedziała więc:

— Bo kocham.

— Kogo?

— Nie wiem, panie. Tego nie można tak odrazu wiedzieć. Ty jesteś dziwny człowiek, ty wiesz tylko to co ma swoje imię, co twój sekretarz może zapisać na papirusie. Kochasz — to u ciebie imię, ot jak Chelidon, i żeby jeszcze było imię ojca albo matki, i imię miasta, skąd się przyszło. Nienawidzisz — to znów imię. Ale to wszystko ma już twój sekretarz, ma to schowane w puszce z bronzu. Więc co tobie zostaje?

— Nic nie rozumiem. Mówisz zagadkami, aby odwrócić prawdę.

— O, moje drobne ręce nie odwrócą prawdy, ani nawet twoje takie mocne.

— Powiedz mi przynajmniej, dokąd idziesz. Już wieczór

— I cóż — wieczór? Wieczór to dobry, cichy bra. Nocy. A dokąd idę? tego jeszcze nie wiem. Drogę mt pokaże mój kochanek. Zaraz, poczekaj... Tę drogę i ja już widziałam. Dziś rano. Widziałam ją długą i białą, a nad nią pył złoty. Pewno jakiś wóz przedtem przejechał. Bądź zdrów.

Szła ku furtce ogrodowej. Już się o nią oparła, aby otworzyć, gdy prokonsul znów podbiegł i chwycił ją za ramię:

— Nigdzie nie pójdziesz.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy:

— O panie, tak nie trzeba. Puść mi rękę, bo mogłabym ból, jaki mi czynią twe palce, pamiętać dłużej od twych uścisków. Bądź zdrów.

Furtkę zamknęła za sobą i widać było jak wchodzi wolno pomiędzy dwa szare mury, tworzące zaułek.

— — — — — — — — — — — — —

Działo się to w Bitynji, w ostatnich latach panowania cesarza Klaudjusza lub w początkach Nerona. Niewiadomo, o którym z prokonsulów tej prowincji jest mowa. Było ich kilku, wśród nich: C. Petronius. *Jan Parandowski.*

STAW

Na niebie się wydyma perłowa pogoda
i spływa w staw śródleśny złotem — i cierniami...
— jakby ktoś strzępek słońca w drobne płatki podarł
i sypnął niemi hojnie w wód wklęsły aksamit

wiatr zsunął się po liściach — szedł po stawu szkliwie —
zmarszczył je — umykając gdzieś — niewiedzieć przed kim
— tylko zachybotały u brzegów leniwie
powtórzone na wodzie drzew ciemne sylwetki

— tylko głąb zaszemrała pachnącem westchnieniem,
że jej już szept miłosny wiatru nie dosięga
i spłynęło na twarz jej zdziwione milczenie
po falujących — coraz — senniej — kręgach.

Włodzimierz Lewik

Z PODRÓŻY PO CZECHOSŁOWACJI

DOLINĄ WAGU: „CZACHTICKA PANI"

JADĘ w przeciwnym kierunku, aniżeli ty Wagu kryształowy pędzisz.

Jadę do góry. Dolina twoja miejscami zwęża się, a brzegi stromieją coraz bardziej.

Za mną pozostał już, na ciemnolesistym leżący kopcu, gęstą oliwą piekącego słońca oblany zamek Tematin.

Przymykam oczy. Pod oczarowanemi powiekami mam jeszcze obraz tego w górę wydźwigniętego, poszarpanego skrzydła — gdy już przede mną z niebieskiego półksiężyca horyzontu wypływa widok jeszcze potężniejszy.

Daleko przed oczami coś się rysuje jak szarosrebrny fresk, wparty łagodnie w cichą, wrześniową zatokę nieba.

To na wyczesanym przez ciepły wiatr pagórzu — Czachtice.

Szara masa, dołem jednolicie zwarta, górą rozwidlająca się w dwa silne, potężne kominy, na prawo resztkami muru wykończona.

Niżej na pastwiskach zielonych, rozesłanych płasko i szeroko, łaciate gromady krów i pastuchów podrostków.

Zbiły się chłopaki w ciasną grupę i o czemś długo sobie opowiadają.

Może o czachtickiej pani, której historja do dziś dnia w ustach słowackiego ludu żyje?



RUINY ZAMKU CZACHTICE W DOLINIE WAGU

Słyszałam potem nieraz tę gadkę różnorodnie bajaną, w warjantach mniej lub więcej fantastycznych zamkniętą.

„W początkach XVII stulecia rządziła na zamku, po śmierci męża swego, przepiękna Elżbieta Batory, przezwana „żelazną panią".

Urodą swoją niezrównaną pyszniła się i wynosiła nad inne.

Ale lata szły i bezlitosna starość na czole pięknej Elżbiety, na policzkach, na szyji, wypisywać zaczęła swoje żółte, pokurczone znaki.

„Żelazna pani" godziny nad zwierciadłem, przywiezionem z zamorskiego kraju, cierpliwie spędza, maściami dostarczanemi przez garbuska Ficka twarz smaruje, ale młodość nie wraca, a policzki wiotczeją jak róże na jesieni, błękitnym ściśnięte szronem.

W któreś rano, służebnica młodziutka do pokoju Elżbiety wejdzie, świeża i różowa, jak ścigłe jabłko, a zobaczywszy praktyki pani, uśmiechnie się leciutko.

Wtedy władczyni się zerwie, gniewem gorącym zakipi i ostry wytnie młodziutkiej służebnicy policzek.

Tryśnie krew, a jedna kropla, jak koral czerwony padnie na policzek Elżbiety. Po zmyciu, skóra w tem miejscu stanie się gładziutka, świeża i różowa.

Wtedy „żelazną panię" opęta szalona myśl, wypije spokój duszy i szaleńczy jad w sercu wystygłem zaszczepi.

Podejdą dwie stare baby, żywot zapomniany na zamku wiodące, i coś Elżbiecie do uszu szepną. I potem zachichocą. Jedna z prawej, a druga z lewej strony.

Z pomocą przyjdzie także, wierny na każde skinienie garbusek Ficek.

I zaczną we wsi znikać młodziutkie dziewczęta. Co najpiękniejsze, co najściglejsze.

Jedna drogą szła do zamku — zginęła. Druga jagody w lesie żywicznym zbierała — do domu na noc ani nigdy już potem — nie wróciła. Do innej przyszły baby, gdy w ogrodzie nikogo nie było, na służbę do zamku namówiły, złote góry naobiecywały — a potem matka nie mogła jej w zamku między służebnicami odszukać.

I już się okolicą, krajem, ruczajem, górami i skałami niesie wieść — niewiadomo skąd zasłyszana, od kogo wyrwana, że pani w krwi młodziutkich dziewcząt zawsze po zachodzie słońca się kąpie.

Mijały miesiące, lata. Pani piękniała coraz bardziej, a starcy okoliczni bajali sobie wieczorami o tem, że nie zmieniła się nic od czasu, gdy jako młoda małżonka z panem na zamek przyjechała.

Aliści wypatrzył i wyszpiegował wszystko narzeczony jednej z zamordowanych dziewcząt. Do palatyna Jerzego Turzy się udał, zdradził krwawą tajemnicę pani.

Było to w roku 1610.

Jerzy Turzo na gorącym uczynku morderców złapał.

Dwie stare baby — mieczem ścięli. Garbuska Ficka — kołem łamali. Panią w żelazo ciężkie okuli, w którem po czterech latach zginęła.

Do dziś dnia o północy, kto się pod zamek, na mury zapędzi — jęki, wezwania o litość, okrutne szlochy usłyszy".

Inny, końcowy warjant powieści mówi, że prawo węgierskie w tych czasach, za zbrodnie takie, wysoko urodzonych osób nie karało, że Elżbieta Batory mogła żyć na zamku jak chciała, nie mogła się tylko poza jego obręb wydalać.

Jakiekolwiek jest zakończenie historji o żelaznej, czachtickiej pani — żyje ona w pamięci słowackiego ludu i dziś jeszcze zgrozą młode przejmuje dziewczęta.

Zaginęły nazwiska Nadasdy'ch, Homonnay'ów, Erdödy'ch z zamkiem złączone, pozostała w legendzie okrutna pani czachticka.

Gdy już potem, za wiele dni, wracałam w dół, doliną Wagu — nad Czachticami, rozmazane, pastelową plamą zachodziło słońce.

Za chwilę słońce zgasło.

Zamek, wtulony teraz w szaropopielatą zatokę nieba, wyglądał tak spokojnie i cicho, jakby na przestrzeni lat nic się w nim nigdy po zachodzie słońca nie działo.

Kazimiera Alberti

MOWA KWIATÓW

ZWYCZAJE LUDU FRANCUSKIEGO



W DRODZE NA SLUB

MIESIĄC maj, poświęcony Mai, Kybeli, Weście, a zkolei i Najświętszej Pannie, rozbudzając tajemne siły natury wcielone w zgraje chochlików złośliwych a psotnych, małżeństwu jest złowrogi i tylko sroka, tkacz i wilga ważą się w ten czas wić gniazdo. Jest natomiast miesiącem pierwszej młodości, beztroskich zalotów i miłosnych wróżb. Młodzież wita go radośnie.

Na rozstajach dróg Prowancji lub Delfinatu, pod krzakiem dzikiej róży zasiadają w wigilję majową „królowe maja", „maje", dziewczynki małe w koronie z kwiatów, otoczone dworkami, które od przechodniów datki zbierają. Wdzięczny symbol panowania pierwszej młodości. W okolicach Grenobli i Wienny chłopcy „mayanches" zbierają 30 kwietnia datki lub jajka na omlet i śpiewają: „Oto zawitał cudny maj, — Róża się rozpłomienia. — Róży się rozkwitnąć daj — Młodzikom u ramienia. — Lecz ja miłą moją wolę! Hej! ha!"

Cuda przynosi ta pierwsza noc majowa, gdy na wierzchołkach drzew kołyszą się czarownicy. Dziewczęta śpieszą oczyszczać zdroje i stroić figury przy nich stojące; która pierwsza figurę ustroi, męża znajdzie (Morwan). Przed świtem wróżą z ziół na łące, przewiązując trzy źdźbła kolorową nitką: zielona nić — oznacza sercu bliskiego chłopaka, czerwona — kochanka nieznanego, czarna — staropanieństwo. Po dziesięciu dniach źdźiebełko najwyższe los dziewczynie oznajmi (Walonja).

Niemasz też skuteczniejszej wody piękności niż majowa rosa. Więc myją się nią dziewczęta o pierwszej zorzy, albo giezłeczko zrzuciwszy, całe się w niej tarzają.

Kąpiel w tej rosie biorą i kochankowie nieszczęśni, aby w ten sposób serce nieczułej bogdanki ku sobie nachylić (Saintonges).

Głosy ptasie w ten pierwszy majowy ranek też rozmaite wróżby przynoszą. Lecz przedewszystkiem mówią kwiaty.

Od czasu gdy w starożytnej Grecji, w pierwszy majowy ranek biegli młodzieńcy uderzyć gałęzią w okna dziewcząt, śpiewając wdzięczne anthema, pieśni kwietne, kwiaty stały stały się uczuć pośrednikami. W całej Europie, im bliżej słońca tem częściej, na Bałkanach, w Rumunji w Polsce nawet, we Włoszech i zwłaszcza we Francji chłopcy sadzą w tę nockę przed oknami dziewcząt „gaiki", t. j. drzewka, gałęzie, bukiety, których symboliczne znaczenie zmienia się zależnie od okolicy.

Oczywiście, najbogatsza w mowę kwiatów jest grecka Prowancja. Tam w sadzeniu gaików towarzyszą śpiewki, aubades zwane, bo śpiewane o świcie, a może też od ulubionego gaika z białej topoli (aube). Drzewo to, królujące w dolinie Rodanu, wyraża uczucia stałe, bo nie łamie się pod podmuchem Mistrala, głosi miłość gorącą, bo bazie jego dostarczają puchu do gniazd misternych tkacza.

Oto kilka próbek owych śpiewek, które zatracają coraz bardziej pierwotny, dyskretny charakter:

Oświadczyny:

1. Różyczko majowa jeszcze cała w pączkach,
Rozkwitniesz ty w słowa w najpiękniejszych rączkach.

2. Rozmarynie — kochanie w chatynie

3. Oto dla ciebie miła jaskrów sploty,
Gdyż jesteś dla mnie jak skarb złoty,
Jak kwiat na ziemi, słońce w niebie,
Kochankę chciałbym ja mieć z ciebie.

4 Daję ci śliczna moja macierzanki,
Wiesz, że wonieją w wszystkie ranki,
A jeszcze bardziej gdy w rozkwicie,
Kochać cię będę całe życie.

Niestety, ta sama macierzanka, która nad morzem prowanckiem miłość głosi, w górnej Prowancji jest obraźliwa: Macierzanki — dla smolanki (brudaska), a w Bretonji oskarża dziewczynę o lekkie obyczaje.

Wątpliwość i niepewność:

5. Daję ci śliczna fiołeczki z ogródka,
Żeś w sercu mojem jest samiutka,
Lecz ono bardzoby bolało,
Gdyby w twem sercu dwóch być miało.

Dla zwodnicy:

6. Oto dla ciebie śliczna są żołędzie,
Żeś mię zwodziła znak to będzie,
Biegałem długo, biegać będę,
Aż wreszcie przecież cię zdobędę.

albo:

7. Oto ci daję gałąź wina,
Co kiedy wiatr jest się odgina,
Tak zawsze miłość twa mię zwodzi,
Gdy serce me w twe ślady chodzi.

Zazdrość:

8. Oto dla ciebie miła mięta dzika,
Proszę, weź mnie a nie owczyka:
Pasterza zawsze czuć jest łojem,
Weź mię, kochaniem pachnę mojem.

Odprawa:

9. Daję ci piękna pąk pokrzywy:
Nie wezmę ciebie pókim żywy,
Bo widzę że masz kolców wiele.
Weźmie cię oset przy kościele.

Język roślin zmienia się zależnie od okolic, w Burgundji jedynym pośrednikiem uczuć są świerki, a tylko z wielkości tych drzewek wnosić można o uczuciach, w Pikardji gałąź świerkowa mówi o szacunku, natomiast w Morwanie wyraża złe obyczaje, w Walonji — język złośliwy. Tarnina kwitnąca, która w Berry jest wdzięcznym hołdem, w Pikardji mówi: Kocham cię!, w Welonji jest symbolem



WIESNIACY Z DELFINATU

lekkości, w Morwanie — złośliwości, w Bretonji stratę wianka głosi. O złym charakterze mówią rośliny kolące ostrokrzewy, pokrzywy, osty.

Czereśnia, którą sadzą przed oknem panny na wydaniu w Pikardji, w Wogezach i w Walonji, jest obelgą, głosząc, że na jej gałęziach każdy uwiesić się może i „jagódek" łatwo dostać, gdyż przy drodze rośnie.

Graby wyrażają sympatję, buki, bukszpan, jesiony — miłość. Lipa w Lotaryngji jest pośredniczką gorącej, zmysłowej miłości, w Burgundji posądza dziewczynę o ukryte macierzyństwo.

Osika w Lotaryngji wyraża wytrwałość i zaciętość w zalotach, w Belgji oznajmia zerwanie z powodu kokieterji.

Brzozami otacza się domy poważnych dziewcząt w Walonji, — w Lotaryngji są one symbolem zapomnienia. Bez czarny zawsze obelżywy, jest symbolem bądź brudu, bądź nieszczerości, lekkości, wyraża dziewczynie obojętność i pogardę. Podobnie jak hordowina w Prowancji, w Bretonji jabłoń oskarża dziewczynę o przyjaźń z kieliszkiem. Zerwanie zapowiada szałwia, zaś w Ile de France rezeda. Opuszczonej kochance sadzą wierzbę w Owernji i Sabaudji; w Alpach kochankowi odpalonemu cebulę u okna wieszają. Lecz ten również mścić się umie i jeśli kochanka jego za innego wyjdzie, drogę od jej chaty do swojej liściem bluszczu uścieli, tajemnicę światu wydając. W tę noc, w Bretanji, niedyskretne ręce zdradzają tajemnice serdeczne wioski: drogi westchnień miłosnych wysypując kwiatami janowca od chaty dziewczyny do chaty zalotnika.

Lecz Gaik nie zawsze dla dziewcząt bywa przeznaczony, jest on też dowodem hołdu oddanym dostojnikom i starszym; często wyraża tylko radość z pięknej oziminy, jak np. w górach Forezu, lub z powodu zniknięcia śniegów i spływu lodów jak w Pirenejskiem Bearnie, gdzie młodzieńcy wiosnę święcą, w czasie „majad" wesołych zasadzają topole przy śpiewach i tańcach. Maj zawsze był miesiącem radości i pieśni. Dlatego też truwerzy dawni zaczynać zwykli swe poematy inwokacją na cześć wiosny: „Było to w maju, w czas pierwszego lata, gdy wody słodkie wzbierają w łożyskach, listowią się lasy, zielenieją łąki, ptaszkowie mile śpiewają, miłujące białogłowy żywsze mają jagody, przyodziewki piękniejsze, ozdoby bogatsze, serca smutne przepominają boleści, radują się i wzruszają"... śpiewa autor „Narbonnais" poematu z XIII wieku.

Anna Ludwika Czerny

DOMEK TRZYDZIESTU DZIEWCZĄT

(Dokończenie artykułu z nru 8)

W tym celu — mają szeroki ogród i sad, własnoręcznie pielęgnowany, szereg maszyn do szycia w szwalni, kuchnię, zaopatrzoną w nowoczesne przybory i naczynia, a wreszcie ruchliwe towarzystwo kur, kaczek, świnek, królików. Każda z wychowanek musi zaznajomić się dokładnie z wszystkiemi rodzajami pracy, jakich dostarczają te warsztaty. Że lekcje, odrabiane nie pod przymusem, ale z całą przyjemnością, nie idą na marne, świadczą rzędy słoików konfitur w śpiżarni, stosy ślicznie uszytych sukienek i koszulek, garnące się do dziewczynek grono skrzydlatych i czworonożnych domowników — i ten wykwintny podwieczorek, jakim młode gosposie umieją uraczyć przygodnych gości. Niebrak i rozrywek: kąpiel w rzece, wycieczki w lasy, tańce i przedstawienia amatorskie w dni uroczyste, a w przerwach pomiędzy zajęciami figle z ucieszną małpeczką, ulubienicą pensjonarek.

Wyniki dwuletniego pobytu małych przestępczyń w „domku trzydziestu dziewcząt" widoczne są choćby z suchego, cyfrowego zestawienia, wykazanego w sprawozdaniu zarządu miasta Zurychu z działu opieki społecznej („Heimgarten" jest własnością gminy). Od czasu założenia instytucji wychowywało się tu 206 dziewcząt. Z tych o 51 nie ma zakład bliższych wiadomości, 42 wyszło dobrze zamąż i są zacnemi matkami, 6 jest nieszczęśliwych w małżeństwie, ale 3 z nich trzymają się dzielnie, relacje o dalszych 65 są jak najlepsze; 5 umarło, 13 prowadzi się lepiej lub gorzej, ale przynajmniej nie weszło w konflikt z prawem — 6 zeszło na złą drogę, 18 uznano za psychopatki i oddano do specjalnych zakładów. Zadziwiająca ewidencja! Ale zresztą odszukanie dawnych wychowanek niezawsze jest trudne. Wiele z nich chętnie odwiedza tę ustroń, opowiadając przewodniczce młodości swe nowe koleje losu, prezentując swe dzieci.

I nie dziwne, że tu wracają, skoro nawet gościowi, zwiedzającemu „Mädchenheim", może przemknąć przez głowę niedorzeczna myśl, że byłoby wcale miło stać się niegrzecznem dzieckiem szwajcarskiem i pozwolić się porwać dobrej wróżce, pannie Eberly do zaczarowanego domku w lesie...

Michalina Grekowicz-Hausnerowa

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

KAZIMIERA ALBERTI: Tatry — Narty — Miłość.

Tak się już złożyło, że pierwsza powieść Kazimiery Alberti jest zarazem pierwszą polską powieścią sportową i jako taka posiada wszystkie zalety (świeżość, bezpośredniość, brak maniery i w pewnym stopniu oryginalność) i wszystkie wady „rzeczy pierwszych".

Zdarzenie napisania i wyjścia z pod prasy tej książki zanotować należy jako objaw radosny. Na przykładzie tym bowiem widzimy, że każdy nowy rodzaj powieści jest przez czytelnika poszukiwany i zyskuje sobie prawo obywatelstwa. Toć przecie oczy naszego pokolenia oglądały ukazanie się literatury marynistycznej (Żeromski), egzotycznej (Sieroszewski, Goetel, Ossendowski i t. d.), a nawet patrzą na pierwsze nieśmiałe kroki, jakie stawia powieść lotnicza.

Z zazdrością patrzyliśmy dotąd na bogatą w tej dziedzinie literaturę angielską, gdzie tennis czy boks, wioślarstwo czy jazda konna — miały swych głosicieli. Gdy więc mamy już rodzimych Farrerów i Lotich, z zadowoleniem powitać należy narodziny literatury sportowej, jako wiernej towarzyszki poczynającego się rozwijać w Polsce sportu.

Z kart powieści Kazimiery Alberti wieje głęboka radość, której cząstka i nam się przy lekturze udziela. Jak dobrze jest wdychać pełną piersią orzeźwiające powietrze Tatr. Jak dobrze mieć zdrowe nogi. Jak dobrze jest po całodziennem wspinaniu się na szczyty gór jeść wieczerzę, złożoną z kromki czarnego zeschłego chleba. I cieszymy się z autorką: żadnych spleenów, żadnych interesów. Chcemy przecie wziąć rekord optymizmu, zdrowia, siły...

W „Tatrach — Nartach — Miłości" — trzy te motywy sprzęgają się z sobą, składając się na zręcznie zawiązaną intrygę powieści. Na początku były Tatry, później stwo-

rzono narty, a gdzie są już te dwa składniki, tam i o związek... z miłością nie trudno. Oczywistą wąskość tematu (sport narciarski) wyzyskała p. Alberti na tem wyrazistszem rysowaniu nam piękności i uroków gór. A rysunek ten wypadł subtelnie i zachęcająco. Naturalnie, że pierwsza powieść autorki „Mego filmu", jako poetki — musiała być więcej impresją niż eposem i to jest może wadą powieści, choć bynajmniej nie jest wadą książki, której jednolity rytm tak nas dzięki zdolnościom obrazowania i poetyckiemu językowi — pociąga. Oczywiście, że w ładnych i śmiałych porównaniach autorka nie ustrzegła się drobnych i rzadkich naogół wykroczeń przeciwko logice pojęciowej (jak np. „...ostra szpicruta zdziwienia", str. 19). Zresztą skoro już mowa o języku autorki „Buntu lawin", — podnieść należy jego niezwykłą rytmikę i osiąganie efektów wzruszeniowych środkami prostemi. Oto przykłady: „Zapodziały się gdzieś pręty chłodnych, pękających gałązek. Coś bardzo dziwnego muska jego przymknięte powieki i ciężkie, zlepione rzęsy. Białe, fryzowane, strusie pióra — sypkie i miękkie, rozwichrzone i też chłodne. Byłoby dobrze, tylko ten śrut w piersiach, okrągły, wiercący, ciężki. Kwadratowe oczy sieci sypią się, sypią. Kto i kiedy — o jakiej godzinie rozerwał tę sieć?..." (str. 57).

Ale nadewszystko autorka donośnie domaga się prawa dla sportu. Jej płaszczyzna ideowa rozszerza się, i to jest społecznie ważne, gdy woła: „Chcemy wyjść na wolną przestrzeń... Za ciasno nam w równo pod centymetr przyciętym szpalerze głów i na korsie nieuleczalnej tępoty. Z teatrum fizycznego wysiłku wydajemy walkę największemu naszemu wrogowi: suflerowi wygody, apostołowi normalnego trawienia, codziennej tępoty, zgrzybiałemu recenzentowi bezpieczeństwa..."

I pochwałą sportu, a może więcej niż sportu, bo zdrowia, tężyzny, optymizmu, i hasłem wiary w niepożyte siły człowieka kończy się interesująca powieść Kazimiery Alberti.

Poetom Tatr przybył nowy towarzysz, głoszący piękno polskich gór... *T. B. Syga*

IGNACY DREXLER: S z e r o k o ś ć j e z d n i w u l i c a c h m i e j s k i c h. Rycin sześćdziesiąt i cztery. Skład główny w księgarniach Zakładu Nar. im. Ossolińskich. Lwów—Warszawa—Poznań. R. 1928. str. 114.

Myślałby kto, że to rzecz dla inżynierów wyłącznie. Tymczasem laik oświecony nie może się od tej uroczej lektury oderwać i czyta książkę jednym tchem od deski do deski. Lektura urocza, bo pod kierunkiem autora stają się nagle dla czytelnika interesujące i zrozumiałe takie szczegóły z budowy miasta, na które codzień patrzył a nie pojmował ich zupełnie. Człowiek zaczyna rozumieć miasto jako wytwór przyrody żywej, jako coś, co się częścią samo tworzy a częścią wychodzi z głowy człowieka i trwa i stanowi wymowny obraz kultury środowiska, w którem powstało. Podobnie, jak urządzenie mieszkania prywatnego. Autor wykazuje w sposób ścisły a przystępny szereg czynników, które decydują i powinny decydować o kształcie ulicy; wogóle i w konkretnych wypadkach przytoczonych przeważnie z budowy Lwowa. Mnóstwo doskonałych spostrzeżeń psychologicznych, estetycznych, dyskretny dowcip, zwięzłość, prostota szlachetna stylu robią z tej książki niezwykłej przysmak literacki dla tych, którzy się nawet na rzeczy samej nie rozumieją. Autor radzi zwęzić jezdnie w miastach a rozszerzyć chodniki, trawniki, deptaki — pozwolić ludziom pieszym, żeby się swobodniej poruszali po mieście a ruch wehikułów opanować i uregulować rozumnie na wzór wielkich miast zachodnich. W tekście i na ilustracjach rozwija urocze pomysły regulacji wielu punktów we Lwowie, na których zyskałoby piękno miasta i sens życia, które w nim tętni. Książka zewszechmiar godna czytania, przemyślenia i odczucia.

Władysław Witwicki

W. RAORT: „N a k a r u z e l u". Kartki z wesołej podróży po Polsce. Z rysunkami Kamila Mackiewicza. Lwów, 1928. Spółka nakładowa „Odrodzenie".

W przedmowie do tej książki przytacza Raort sentencję z wywieszki jakiegoś fryzjera: „Gościu! Jesteś niezadowolony — powiedz mnie. Jesteś zadowolony — powiedz innym!" To też jako jeden z „zadowolonych" z książki, dzielę się wrażeniami i zachęcam drugich do jej przeczytania. Nie będą żałowali. Książka przemiła, pogodna, pełna ciętego humoru i satyry, ale satyry takiej jakiejś serdecznej i ujmującej.

Jest to zbiór szkiców, obrazków i wrażeń z trzymiesięcznej podróży po całym naszym kraju, ze Lwowa przez Brody, Dubno, szlakiem Polesia do Wilna, a potem przez Grodno, Warszawę i Łódź nad Polskie Morze i znów zpowrotem przez Toruń do Poznania, Krakowa, z odnogą do Zakopanego, wzdłuż Podkarpacia aż do Kosowa i Kut, by zakończyć dłuższym pobytem nad Czeremoszem.

Raort, jako satyryk, potrafił na każdym postoju zauważyć tyle braków i błędów kulturalno-cywilizacyjnych, tyle komizmu lokalnych upodobań i zwyczajów, a ująć to wszystko w tak wesoły dialog ze swym towarzyszem podróży — że miejscami do łez rozśmiesza. Ale Raort jako satyryk — jest równocześnie dobrym człowiekiem. Satyra jego pełna dobroci, życzliwości i wyrozumiałości. Stąd też wyszydzając błędy — równocześnie znosi je ze smutną rezygnacją. Uśmiecha się ironicznie, ale nie rani. Nie oburza się — lecz żywi nadzieję lepszego jutra.

Raort ma przytem wielkie umiłowanie przyrody i dar szkicowania w kilku słowach zaobserwowanych prawdziwie nastrojowych wrażeń optycznych i słuchowych. Ma wielki sentyment dla historji Polski, jej przeszłości i zabytków. Z łezką w oku śni sny o wartościach i potędze Ojczyzny, a boleje nad marnowaniem Jej skarbów. Szkice z Polesia, z nad Morza, z Torunia, Poznania i Krakowa są wiele mówiącemi pod tym względem przykładami.

Humoru i dowcipu mamy za mało, za mało mamy nie oblanej żółcią i jadem, ale pogodnej satyry — tem bardziej i goręcej rozpowszechniać i cenić należy książki w rodzaju „Na karuzelu". Działają one kojąco na nerwy ludzkie rozwichrzone powojennem życiem i okropnościami w literaturze i na scenie. Są terapją i pedagogiką.

Książkę zdobią przepyszne w rysunku i pełne humoru ilustracje Kamila Mackiewicza. Język, styl i zewnętrzna szata książki — składają się na harmonijną całość. Gdyby się jeszcze Raort wyzbył używania, co pewien czas, za soczystych wyrażeń — nie ubyłoby w jego fejletonach i książkach dowcipu i humoru, a podniosłoby ich wartość!

Dr Wł. Hojnacki

DR FRANCISZKA BAUMGARTEN: K ł a m s t w o d z i e c i i m ł o d z i e ż y. 1927. Str. 137. Nasza Księgarnia, Warszawa.

Jako Nr 12 B i b l j o t e k i D z i e ł P e d a g o g i c z n y c h wyszła z druku praca dr. Franciszki Baumgartenówny pt. K ł a m s t w o d z i e c i i m ł o d z i e ż y. Autorka pracę swoją oparła na ankiecie, przeprowadzonej na szeregu szkół łódzkich. Głównym jej celem przy przeprowadzeniu ankiety było przekonanie się, jakie są motywy kłamstwa dzieci i jaki jest ich stosunek do kłamstwa, t. j. czy żałują i czy wstydzą się, że skłamały. Ze szczerych wyznań dzieci wnosić można, że w dużym stopniu wychowawcy ponoszą odpowiedzialność za kłamstwa dzieci.

Każdy, kto ma jakąkolwiek styczność z dziećmi, powinien poznać tę pożyteczną książkę, uchylającą rąbek zasłony, kryjącej przed nami duszę naszych wychowańców.

KWESTJA PRZEDŁUŻANIA MŁODOŚCI W ŚWIETLE NOWOCZESNEJ CHIRURGJI

Fontenelle: Les jolies femmes meurent deux fois.

TAK wiele mówi się i pisze obecnie o zupełnem przewartościowaniu walorów życiowych w dobie powojennej, że mimowoli nasuwa się pytanie: „Czy rzeczywiście tyle zmieniło się i w czem tkwi przyczyna?“ Jest to problem obejmujący wszystkie przejawy życia współczesnego. Zbyt trudne byłoby zadanie roztrząsania, powierzchownego chociażby, tych wszystkich zagadnień. Nie czas tu i nie miejsce na tworzenie określeń i szukanie nowych praw. Jedno tylko stwierdzić można bezsprzecznie. Zmieniło się tempo naszego życia. Zdawaćby się mogło, że ludzie współcześni mają daleko mniej czasu do życia, aniżeli dawniej. Im większe środowisko, tem silniejszy rytm gorączkowego pośpiechu. Idzie do nas z Zachodu ten, nerw podniecający, impuls i zatacza coraz to szersze kręgi.

Do tego wyścigu życiowego stanęły na wszystkich polach i kobiety. Jest to bodaj czy nie najistotniejsza zmiana wielkiego przewrotu społecznego, jaki dokonał się na tle przebytej wojny. Ciężkie warunki ekonomiczne i potrzeba zużytkowania sił roboczych popchnęły kobietę do walki o chleb codzienny. Praca fizyczna i umysłowa obok niepomyślnych stosunków materjalnych stawiają jej organizmowi wymagania bardzo wygórowane. Kobieta w tych warunkach starzeje się szybko. Z drugiej strony większa swoboda ruchów i możność czynnego udziału w pracy społecznej, polityce, powodują, że kobieta dzisiejsza pozostaje dłużej na arenie życia. Dawniej, kobieta czterdziestoletnia, wdziewając czepek na głowę, usuwała się w zacisze domowe, nierzadko już jako babka. Dzisiejszy strój kobiecy, niwelujący różnicę między podlotkiem a leciwą damą, stwarza nowy problem. Problem przedłużania młodości. *Steinach i Woronow*, twórcy metod odmładzania, są tylko dziećmi obecnego stulecia. Ich idee są odbiciem ogólnego nastroju. Niestety, próby te są jeszcze zbyt nikłe, aby mogły stać się własnością ogółu. Trzeba oglądnąć się za czemś, co nie wymaga tego ryzyka, wielkich zabiegów, wywołujących wstrząs całego organizmu.

Zadanie takie spełnia w części chirurgja estetyczna. Myślą przewodnią tej nowej gałęzi wiedzy lekarskiej jest usuwanie najbardziej rzucających się w oczy objawów starości, a mianowicie zmarszczek. „*Chirurgie esthetique*“ jest tylko drobną częścią chirurgji plastycznej, której głównem zadaniem jest poprawianie błędów wrodzonych, jakichś zniekształceń nosa, warg zajęczych i t. d. Wielka wojna dostarczyła licznego materjału dla kompletowania ubytków skóry, powstałych na tle postrzałów, głębokich oparzeń, zniekształceń wskutek ropienia. Plastyka chirurgiczna stała się potrzebą wielu działów medycyny. Powstały szpitale, sanatorja, poświęcone tej gałęzi chirurgji. Zabiegi estetyczne, które Niemcy nazywają „*Faltenkorrekturen*“, nie odnoszą się do zmian patologicznych. Usuwają one tylko ten nadmiar skóry, który wytwarza się wskutek zaniku jej elastyczności. Zanik elastyczności jest naturalnym procesem starzenia się. Drogą wycinania odpowiednich płatów skóry można wygładzić fałd nosowo-ustny, którego pogłębienie jest pierwszą oznaką starości, usunąć t. zw. gęsią łapkę koło oczu, podbródek, torby powiek dolnych i górnych, zwisające policzki. Można uzyskać znaczną poprawę owalu twarzy. Istnieją też zabiegi usuwające opadnięcie biustu i przywracające skórze rąk i nóg normalne napięcie. Nawet odstające uszy i zbyt wydęte wargi (w tym ostatnim przypadku usuwa się płat błony śluzowej) mogą być przedmiotem skutecznych poprawek.

Chirurgja estetyczna przeszła ciężkie czasy, kiedy jak każda nowa myśl była przedmiotem drwin i niedowiarstwa. Dziś zyskała sobie prawo obywatelstwa wśród innych nauk i stała się częścią chirurgji plastycznej. Oznaczenie wieku, w którym potrzebne są zabiegi estetyczne, jest bardzo trudne. Są kobiety, którym przydałaby się korektura zwiotczałej skóry już w okresie względnej młodości. Typy intelektualne zwłaszcza starzeją się bardzo szybko. Inne, które w 60 roku życia poddają się zabiegom estetycznym, wychodzą z nich obronną ręką. Nie znaczy to jednak, że wszystkie kobiety, czy nawet mężczyźni (a jest pokaźna ilość kandydatów na odmłodzenie) mogliby wczambuł poddawać się zabiegom odmładzającym. Nie każda twarz nadaje się do zabiegu estetycznego. Kiedy rysy twarzy są zbyt rozlane, przy znacznej dysproporcji między dolną a górną częścią twarzy, musi się zrezygnować ze stosowania zabiegów. Przy wyraźnie zaznaczonej asymetrji lewej i prawej połowy należy stosować jak najdalej idącą indywidualizację. Chirurg, podejmujący się tego rodzaju operacji, musi być naprawdę estetą, aby nie narazić pacjenta na przeholowanie w tę lub ową stronę.

Naogół chirurgja estetyczna ma duże znaczenie społeczne, przedewszystkiem dla tych kobiet, których zawód wymaga utrzymania wszelkich pozorów młodości. Przesuwa ona okres ostatecznego starzenia się, pozwala kobiecie pracować dłużej i współzawodniczyć z młodszemi, które samą swą młodością wyrugowują starsze i rutynowane siły. Pani du Noël, właściwa twórczyni chirurgji estetycznej, opowiada o całym szeregu przypadków, w których operowane pacjentki mogły powrócić do zarzuconego zawodu, a nawet uzyskać korzystniejszą posadę.

Jednakże każdej kobiecie wolno i powinna ona nawet starać się o to, aby zachować tę urodę, którą natura ją obdarzyła, do jak najpóźniejszego okresu. W zmienionych obecnie warunkach bytowania nie rzadko będzie ona miała sposobność korzystania z postępów wiedzy lekarskiej. Przed jedną tylko należy ją ostrzec rzeczą, a mianowicie przed przesadą. To, co dzieje się obecnie np. w Paryżu na polu kosmetyki, tego już nazwać nie można zapałem ani miłośnictwem kultury ciała. Jest to do pewnego stopnia masowa psychoza, sugestja obecnego pokolenia, która w tej formie na pewno się nie ostanie.

Co jednak robią w Paryżu umiejętnie i z pewnym artystycznym umiarem, u nas przeszło w niepowołane ręce i przybrało kształty naprawdę potworne. Te niezliczone masaże, parówki, kremy, jakieś piegole, stosowane bezkrytycznie i bezpotrzebnie, to wszystko, co medycyna nazywa ,,polipragmazją“, jest daleko szkodliwsze, aniżeli zupełna w tym kierunku bezczynność. Nie należy zapomnieć, że zwiotczenie skóry, wywołane niewprawnym i brutalnym masażem, jest bezpowrotne. Stosowanie codzienne, jak to obecnie jest w zwyczaju, kremów, pudrów, szminek, różu, w krótkim czasie niszczy odporność skóry, rozszerza pory, nadaje cerze koloryt szarawy, niezdrowy. Niedarmo Monin, znawca tajników kosmetyki, powiada: ,,Kobiety dzisiejsze są tak pięknie wymalowane jak dzieła sztuki, ale też jak dzieła sztuki należy je oglądać... zdaleka“.

Kultura ciała nie powinna przeradzać się w sztukę kiepskiego malarstwa i tynkowania skóry. Dobrze zrozumiana higjena, wykwint, umiar — oto ideał prawdziwej damy.

Dr. Zofja Wepperówna

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

OGÓLNE UWAGI O SPORTOWYCH I LETNICH UBRANIACH

NA samym wstępie uwag o sportowych ubraniach należałoby umieścić przykazanie:

nie będziesz go nosił w żadnych innych okolicznościach.

Są bowiem panowie markujący uprawianie jakiegoś sportu obnoszeniem np. ubrania do jazdy konnej po najruchliwszych ulicach miasta. Wywija taki pan szpicrutą, ostrogami dzwoni, szeroko rozstawia nogi w butach z cholewami i pewien siebie lekceważąco spogląda na przechodniów odpowiednio ubranych. Albo tennisista uwijający się godzinami w śródmieściu z rakietą i w białem ubraniu wśród pyłu ulicznego.

Przykładów podobnych możnaby wiele przytoczyć i uzupełnić uwagą, że zazwyczaj ci panowie nie są rasowymi sportowcami z umiłowania sportu, lecz jedynie odgrywają role na pokaz, licho jeżdżą, marnie grają i są przedmiotem mniej lub więcej dobrotliwych drwin.



Zadaniem tego artykuliku nie jest opis ubrań do poszczególnych sportów, lecz garść wskazówek o tem, czego wymagamy od ubrań sportowych, i o tem, co do nich wnosi nutę ośmieszającą.

Ubranie sportowe musi być przedewszystkiem wygodne, posiadać obszerne kieszenie i być celowo dostosowane do potrzeb i okoliczności towarzyszących danemu sportowi. Bo o tem stale pamiętać trzeba, że rodzaj ubrania zależy od rodzaju wykonywanych ruchów; zatem inny będzie do turystyki, inny do golfu, do tenisu, piłki nożnej, jazdy konnej, polowania i t. d.

Automobil, od czasu gdy stał się zwykłym środkiem lokomocyjnym, nie wymaga żadnych specjalnych ubrań. Dwoma głównemi wymaganiami są wygoda i ciepło. W mieście, do jazdy za interesami, do biura wystarcza zwykłe ubranie i miastowy kapelusz, dopiero poza miastem do dalszych wycieczek wkłada się czapkę angielską lub beret z daszkiem i obszerny, chroniący przed pyłem płaszcz. Śmieszne okazy nowicjuszów w sporcie i dobrobycie, zakute od głowy do stóp w skóry i dziwaczne czapki zniknęły już na szczęście z bruków wielkomiejskich, a pokutują chyba gdzieś na głębokiej prowincji. Pragniemy dziś bowiem we wszystkiem uproszczenia form, ułatwień, a zatem i w ubraniach widoczne są dążenia do prostoty, wygody i celowości.

Ubrania napół sportowe, napół spacerowe, które w miastach i uzdrowiskach niejednokrotnie widujemy, jako typ ubrania codziennego, nie są niczem usprawiedliwione a do uprawiania żadnego sportu nie nadają się przecież.

Również noszenie pull-overów zamiast kamizelek razi w mieście przy zwykłem ubraniu, tak jak noszenie cienkich pończoch do krótkich sportowych spodni, które wymagają grubych wełnianych pończoch we wzór, w paski lub w kratkę, i mocnego obuwia z żółtej boksowej skóry.

Na widowiska sportowe w lecie, zawody, mecze, odpowiedniem ubraniem dla widzów jest garnitur marynarkowy jednolity lub kombinowany, miękki filc, bronzowe półbuciki, kamasze, kolorowa koszula. Materjały bronzowe lub popielate przerabiane kolorowemi nitkami, marynarki jednorzędowe o zapięciu na trzy guziki.

Na wyścigi konne przeznaczony jest żakiet, spodnie w paski, cylinder.

Rzecz jasna, że dozwolone są tutaj różne drobne odstępstwa indywidualne na korzyść osobistych gustów i zapatrywań, oraz środowisk wielko lub małomiejskich, w których się widowiska sportowe odbywają.

Wszelkie zaś bankiety złączone z uroczystościami sportowemi wymagają ubrań wieczorowych.

Najważniejszą rzeczą przy sportowych ubraniach jest unikanie jakiejkolwiek przesady w szczegółach, w kroju i w barwach — oczywiście poza barwami klubowemi. Niczego zanadto nie akcentować, niczem nie zwracać rozmyślnie uwagi jest dążeniem każdego poważnie myślącego sportsmana.

Na zbliżające się letnie, upalne dni przygotowują krawcy garnitury z lekkich jasnych materjałów w pastelowych odcieniach. Kolorami modnemi w obecnym sezonie będą: szary, jasno-bronzowy, zielonkawy.



O GARSONKACH, TENNISOWYCH SUKIENKACH I SKROMNYCH JEDWABNYCH PŁASZCZACH

GARSONKĘ można nosić do pracy, do sportu, na ulicę, a nawet jako wizytowa sukienka nie raziłaby tak jak sukienka strojniejsza, gdyby ją kto włożył, idąc na sprawunki. A jeśli już przez samą swą nazwę i krój prosty a wygodny jest symbolem emancypancji, to jest równocześnie tak miła w linji, tak dbała o piękno i podobanie się swych właścicielek, że może się na nią zgodzić każdy, najzagorzalszy nawet, wielbiciel dawnych, dobrych czasów.

Garsonki letnie są, oczywiście, po największej części jasne. Przeważa kolor *beige*, a obok tego panuje ulubiony w tym sezonie zielony, czerwony, *vieux rose* i pomarańczowy. Jeśli zaś ktoś koniecznie chce się ciemno ubrać, to musi wybrać granatowy, jako że jest to jedyny ciemny kolor, któremu obecna moda darowała życie. Najczęściej zaś kombinuje się kilka barw. Przedewszystkiem o tyle, że specjalnie modne na garsonki są w tym sezonie materjały szkockie lub wogóle w różnobarwną kratkę. A nawet, jeśli się używa gładkich materjałów, to wskazane jest uszyć spódniczkę w jednym kolorze, a bluzkę lub ewentualnie stanik w innym, przyczem się bluzę przybiera plisami z materjału spódnicy, albo nawet i jedną i drugą całkiem odmiennemi barwami. Bardzo częsty jest np. model, który ma spódniczkę w tonie stosunkowo najciemniejszym, a bluzka składa się z trzech części, przyszytych jedna do drugiej wzdłuż linji prostej, zębów okrągłych lub w szpic. Te trzy pasy są różnego koloru i to tak, że dolny jest tej barwy co spódniczka, środkowy nieco jaśniejszy, a górny całkiem jasny. Przy obramowaniu dekoltu, przy zakończeniu rękawów, i tak bardzo ulubionej tego roku krawatki, wąskie pasemka obu ciemniejszych materjałów bardzo pięknie dopełniają całości.

Jako materjał używany jest najbardziej trykot wełniany i *crêpe de Chine*. Prócz tego kasha i jej odmiany, sukienko damskie, jedwabny trykot, woal, *shantung*, *crêpe marocain*. Bardzo noszona jest też kombinacja dwóch rodzajów materjałów, np. wełnianej spódniczki i jedwabnej bluzki.

Fasony można podzielić na dwa typy: albo się garsonka składa z dwóch odzielnie wkładanych części, albo stanowi jedną, niepodzielną całość. Nowością jest jednak następujący model: spódnica z wełny, a bluzka to najzwyklejsza w świecie jedwabna biała koszulka.

Jako fason drugiego typu przeważa tak zwany marynarski strój. Tylko zamiast kołnierzy najczęściej nosi się chusteczki jedwabne, związane tak że jeden koniec leży na plecach, a dwa drugie jako węzeł i krawatka u wylotu śpiczastego wycięcia. Modele zaś bez chusteczek mają małe białe plisowane jedwabne kołnierzyki i takież manszeciki. Bluzki są mniej lub więcej bufiaste, a przyszyte do nich spódnice marszczone lub fałdowane. Paski, konieczne, zwłaszcza jeśli bluza mało jest wyrzucona, z irchy z klamrą z materjału sukienki. Bardzo modne są spódniczki, które z boków lub wzdłuż całego przodu mają duże kontrafałdy, sięgające tylko do połowy wysokości spódniczki.

Garsonki niemarynarskie najczęściej na staniku, przyszytym do spódniczki w małej naogół odległości od właściwego pasa, mają plastrony. Czasami są to rzeczywiście przody z innego materjału, białego jedwabiu np., i wtedy przechodzą w wysokie męskie kołnierzyki. W większości wypadków jednak plastrony te są na staniku utworzone przez mereżki, zakładeczki lub wypustki, które okalają odpowiednią część stanika. Niezdecydowanemu charakterowi tegorocznej mody, lawirującej między prostą linją ostatnich lat, a nową tendencją ku fantazji i kapryśności, odpowiada też i nowa garsonka, która obie te cechy łączy w oryginalną całość. Czy szczęśliwie, o tem zadecyduje praktyka. Jest to sukienka o skromnym koszulkowym staniku z wysokim kołnierzem, czasem nawet męską krawatką, i długich rękawach z manszetami. Jak dotąd więc, przyzwoita garsonka. Spódniczka jednak składa się z dwóch plisowanych gęsto falbanek nierównej naokoło długości tak, że sukienka zprzodu dużo jest krótsza, niż z boków i ztyłu, co właściwie dotąd zdarzało się tylko przy sukniach strojnych. Także i materjały na ten nowy model są inne, niż te których dotąd na garsonki używano — mianowicie jedwabie i muśliny w desenie, czasem bardzo filuterne.

Odmianą garsonek są też sukienki tennisowe. Z materjałów używa się woalu, leciutkiej kashy, trykotu shantungu, a z kolorów wchodzi w grę przedewszystkiem biały lub kremowy, ubrany dla ozdoby plisami czerwonemi. Dla fasonu znamienny jest brak rękawów. Stąd, po grze, wynika potrzeba okrycia, której czyni zadość jedwabna chusteczka, kamizelka z trykotu lub włóczki, żakiecik z wełny lub tego samego, co kostjum, materjału, a w najlepszym przypadku duży, pelerynkowo skrojony szal z materjału kostjumu.

Prócz garsonki nieodzowną częścią garderoby letniej jest płaszcz. Najrozsądniej jest sprawić skromny popołudniowy, to znaczy jedwabny, bo ten raczej się zawsze może przydać, aniżeli wełniany, którego na sukienkę wizytową włożyć niepodobna.

Kolor, jeśli idzie o rzecz praktyczną, granatowy; czarnych płaszczy bowiem tegoroczna moda nie uznaje. Jako materjał obowiązuje *crêpe marocain*, *crêpe de Chine*, alpaga i jedwabna popelina.

Krój odznacza się tem szczególnie, że reformie uległ kołnierz. Wedle najnowszych mianowicie rozporządzeń mody kołnierz powinien być znikomo wąski — broń Boże, by był futrem ubrany! — i dobrze jest, jeśli się bezpośrednio łączy z wąskiemi również wyłogami. Często malutki ten kołnierzyk nie leży, a stoi, a jeszcze częściej zamiast takiego szczątkowego organu widać szal, który jako przydłużenie prawego wyłogu owija się naokoło szyji i wtył zarzuca. Trzeba przyznać, że nowość ta jest bardzo pomysłowem urozmaiceniem i można jej wróżyć dużo powodzenia.

Zresztą fasony są proste i zasadniczo wąskie. Z paskiem z tego samego materjału, albo też i całkiem bez paska. Zapięcie na jeden guzik. Jako ozdoby używa się z zamiłowaniem pasów z tego samego materjału, lśniących, jeśli to jest możliwe, w przeciwieństwie do matowej całości, lub przynajmniej tak krajanych, żeby ich nici szły w innym kierunku. Prócz tego widać jako przybrania borty, a już najwięcej jest zakładek wszelkiego rodzaju, rozmiaru i rozmieszczenia. Wcale zaś częste tego roku kimonowe fasony miewają zazwyczaj naokoło szyji, wzdłuż całej nasady malutkiego wykładanego kołnierzyka, marszczenia, które ubierają, i zarazem ściągają do należytej wąskości szerokie skąd inąd formy kimona.

Kokardka z materjału płaszcza, umieszczona na lewym wyłogu, lub jeśli ich niema — przy kimonowym fasonie np. — na prawo tuż pod kołnierzykiem, jest nowością. Z tem wszystkiem jednak najładniejszy nawet płaszcz nie zasługiwałby na zaszczytne miano modnego, gdyby się miał obejść bez szala. To też modele, które nie mają swego własnego szalika, wymagają bezwzględnie tego uzupełnienia. Jest to istna kropka nad i, a postawić ją tak łatwo, że niewarto się buntować. Niezbyt długi, niezbyt szeroki jedwabny pas, pstry w kolorach, o ile możności kraciasty — i sprawa załatwiona. W nagrodę zaś za posłuszeństwo najskromniejszy nawet płaszczyk wygląda wesoło. Radość życia zaś to główny urok. Nietylko tegorocznej mody.

Mewa (Paryż)

MODELE MÓD



466 Powiewna sukienka z fularu lawendowego w barwne grochy. Pasek z dwubarwnej skóry.
467 Skromna, szykowna sukienka z *crêpe de Chine* absyntowej, pasek i patki przy rękawach.
468 Skromna szykowna sukienka letnia z materjału do prania. Przodzik i kołnierzyk z białego *linon*.
469 Biała sukienka z *mousseline de laine*.


470
471
472


473
474
475



470 Wytworna sukienka kombinowana: stanik z *crêpe mongol* kremowy, plisowana spódniczka z *crêpe Georgette* jasno bronzowej.

471 Sukienka z białego kaszmiru; spódnica, rękawy i kołnierzyk, staniczek z wzorzystego *jersey'u*.

472 Toaleta popołudniowa kombinowana: spódniczka i plisowane części z *mousseline de soie;* staniczek z jedwabiu otoman.

473-5 Szykowne, pełne prostoty sukienki popołudniowe z *crêpe de Chine, crêpe marocain i crêpe satin.*

476-8 Trzy toalety tennisowe.

479 Kostjum kombinowany, spódniczka z kashy w kratę *beige* z bronzowem; żakiet z sukienka ciemno bronzowego.

480 Kostjum do jazdy konnej na lato. Spodnie ze struksu migdałowego; biała bluzka z *lingerie*, kamizelka krojem surdutowym w kolorze jasno czerwonym, marynarka słomkowa.

481 Klasyczny strój do jazdy konnej.



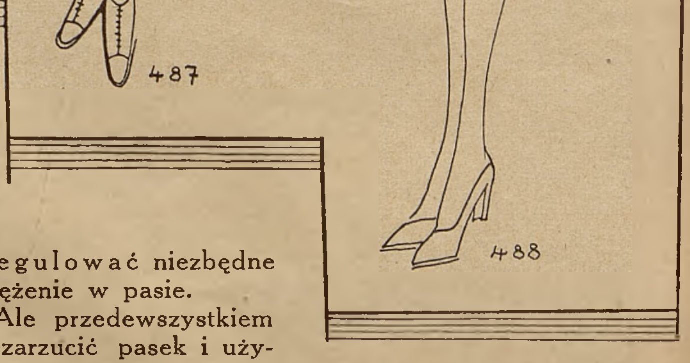
479

480

481


482
483
484





COŚNIECOŚ DLA PANÓW

(Dokończenie ze str. 206)

Marynarki jednorzędowe, na jeden, dwa lub trzy guziki; dolny brzeg zaokrąglony począwszy od ostatniego guzika. Linja ciała zaakcentowana, rewersy szerokie.

W miejscowościach kąpielowych, na wybrzeżach morskich dużem powodzeniem cieszą się dwurzędowe garnitury z lekkiej flaneli, zapięte na dwa guziki, z kamizelkami również dwurzędowemi. Przeważają kolory jasnopopielaty, biały i biszkoptowy.

Ważna kwestja zapinania marynarek pozostaje niezmieniona: przy zapięciu na dwa czy też trzy guziki zapinany bywa tylko jeden w pasie. Odnosi się to tak dobrze do jedno- jak i. dwurzędowych. Marynarki jednoguzikowe noszone są otwarte.

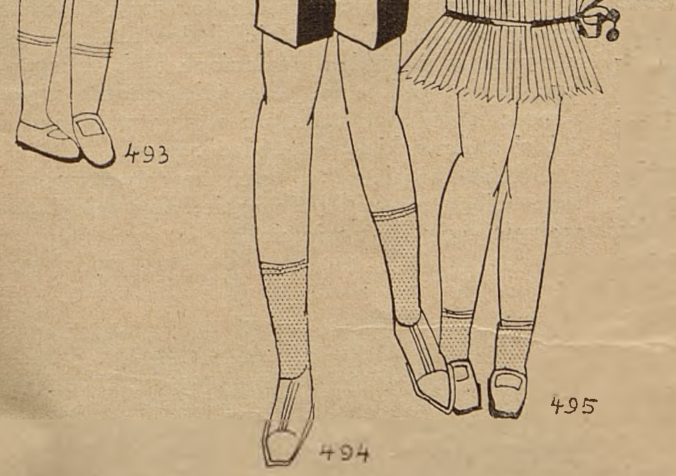
Spodnie nie powinny być za krótkie, ani wyłogi dołem zbyt wąskie. Dobrze jest także unikać kieszeni tylnych, które, zwłaszcza przy cienkich materjałach, psują równą linję pleców. To samo odnosi się do ściągania spodni w tyle na sprzączkę, które powoduje brzydkie wpadanie marynarki w pasie. Zamiast ściągania można wszytkami uregulować niezbędne zwężenie w pasie.

Ale przedewszystkiem — zarzucić pasek i używać wyłącznie szelek. Spodnie przytrzymywane paskiem nigdy nie będą równie dobrze leżały jak zabezpieczone szelkami. Pasek nie może bowiem unieść spodni w górę po bokach, co znowu jest warunkiem niezałamywania się ich zboku w okolicy kolan. Anglicy, którzy nadają ton modzie męskiej, uznają pasek jedynie przy sporcie.

Guziki, służące do przytrzymania szelek, nie powinny być przyszyte po zewnętrznej, lecz od wewnętrznej strony spodni.

Gentleman





482 Kostjum z najnowszej białej kashy, czarny aksamitny kołnierzyk.
483 Kostjum angielski z ciemnej wełny granatowej.
484 Garsonka z *jersey'u* skombinowanego z *crêpe satin*.
485-8 Płaszcze jedwabne na popołudnie.
490, 91, 92, 94, Ubrania i okrycia chłopięce.
493 Sukienka do zabawy i na plażę.
495 Strojna sukienka letnia biała z rubinowem przybraniem z aksamitek dla dziewczynki.

OPIS MODELI NA CZWARTEJ STRONIE OKŁADKI

Sukienka sportowa z materjału trykotowego.

Garsonka letnia z cienkiego jedwabnego trykotu w kombinowanych kolorach.

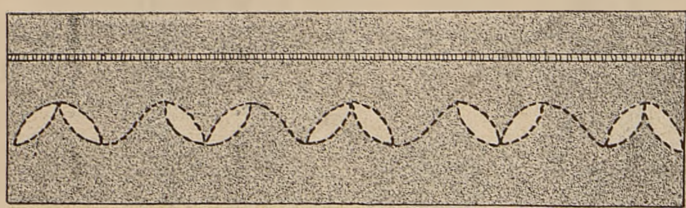
Suknia ogrodowa z fularu, z oryginalnym szalem.

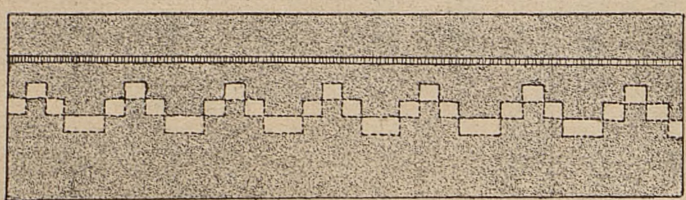
ROBOTY RĘCZNE

ŚCIEG KRZYŻOWY LUB JANINA

Nadzwyczaj efektownie i oryginalnie wygląda cienka bielizna, ozdobiona wzorem wykonanym ściegiem Janina w połączeniu ze stebnówką lub ściegiem sznureczkowym. Ścieg ten daje pełną iluzję nadzwyczaj subtelnej aplikacji, której kolor zależy od koloru nici użytej na ścieg. Bardzo elegancko wygląda taka aplikacja białą nicią na białym opalu, dająca na przezroczystym materjale śnieżno białe plamy wzoru. Łatwość i prędkość wykonania tego rodzaju aplikacji jest jej wielką zaletą. Ścieg ten może

Rys. 1





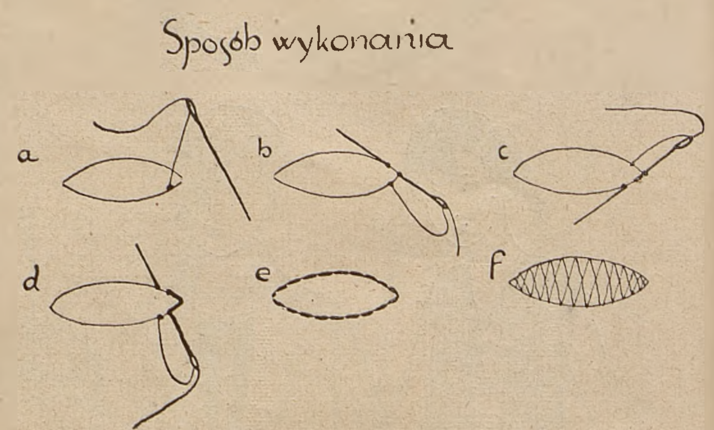
Rys. 2

być stosowany tylko na materjale bardzo cienkim i przezroczystym, inaczej się nie otrzyma pożądanego efektu; nici muszą być miękkie (moulinée) lub atłasek nr. 40—50. Igła może być dosyć gruba nr. 7. Ścieg ten polega na wypełnieniu powierzchni wzoru krzyżykami, które się tworzą po stronie lewej materjału, dając na prawej stronie odpowiednią plamę oprowadzoną stebnówką. Sposób wykonania: ścieg ten można wykonywać po stronie prawej lub lewej; zależnie od tego kalkujemy wzór na lewej lub prawej stronie materjału.

Przypuśćmy, że mamy wykonać tym ściegiem element podany na rys. 1.

Zamocowawszy nić po stronie lewej materjału, wyciągamy igłę na prawą stronę roboty i w samym wierzchołku płatka lecz o jaki milimeter w lewo wzdłuż konturu płatka (rys. a). Wkłuwamy igłę w wierzchołek płatka a wykłuwamy o milimetr w lewo po przeciwnej stronie płatka. Wyciągnąwszy igłę wkłuwamy ją na nowo w wierzchołek, ale wykłuwamy znowu po przeciwnej stronie płatka, tak jak na rysunku c.

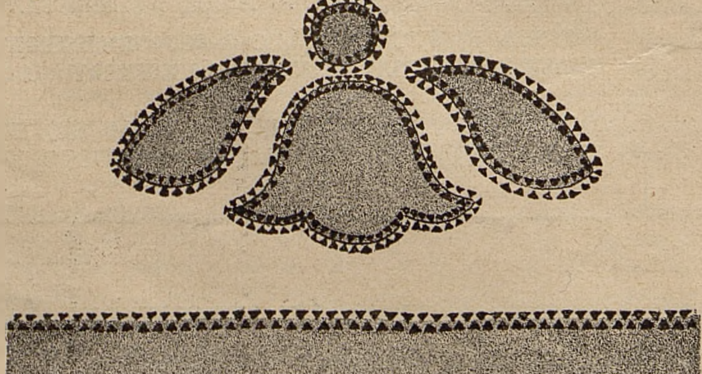
Następnie wkłuwamy w miejsce, skąd zaczęliśmy pierwszy ścieg, a wykłuwamy po przeciwnej stronie o milimetr w lewo od drugiego ściegu (rys. d) i t. d., uważając, żeby po stronie prawej wzdłuż konturów płatka utworzyła się stebnówka a po lewej płaszczyzna płatka wypełniła się podłużnemi krzyżykami tak jak na rysunku c i f. Teraz, nie odrywając nici, należy stebnówką lub ście-



giem sznureczkowym przejść do następnego płatka. Przy wykonaniu wzorów składających się z elementów ograniczonych linjami prostemi, biegnącemi wzdłuż nici materjału (rys. 2.), należy po linjach konturów wyciągnąć niteczkę, zarysowując w ten sposób deseń i wykonywać go w sposób wyżej podany z tą różnicą, że igłę będziemy wkłuwać i wykłuwać po linji wyciągniętej niteczki. W tym wypadku otrzymamy wrażenie aplikacji oprowadzoną wąziutką mereżką. Przy stosowaniu nici kolorowych (oczywiście takich które nie puszczą w praniu) otrzymamy plamki o odcieniach nici, których kolor musi być bardzo delikatny. Ten ścieg można wykonywać po stronie lewej materjału, ale wtedy trudniej upilnować aby ściegi stebnówki były bardzo równe.

Trzeba pamiętać o tem, że płaszczyzny wzoru do tego ściegu muszą być wąskie, aby ściegi po stronie lewej nie były zbyt wielkie.

Jadwiga Skalecka



Rysunek do art. w nrze 8: „Zastosowanie ściegu tureckiego w modnych aplikacjach.



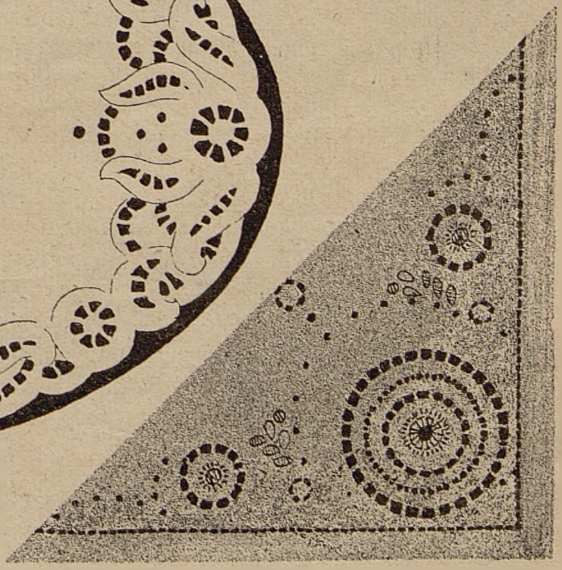
Rys. 117. — Makatka ściegiem gobelinowym. Materjał: szary kongres, włóczka gobelinowa w odpowiednich kolorach. — *Projektowała Jadwiga Madeyska.*



Rys. 118. — Makatka, aplikowana, albo malowana, lub batikowana. Wymiary: 95 X 70 cm. Tło stalowo-niebieskie, ciemne. Kolory: czarny, ugier, biały, jasno-żółty, zielony. Materjał: sukno. U dołu mogą być frendzle. — *Proj. Jadwiga Skalecka*







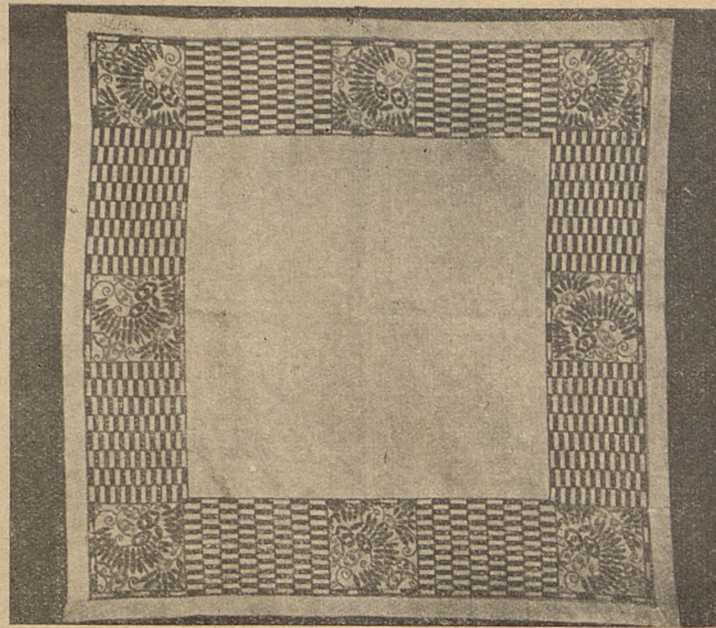
Rys. 119. — Róg serwetki na stół. Ścieg Richelieu, płótno białe. — *Proj. Jadwiga Skalecka.*

Rys. 120. — Serwetka na tackę. Białe płótno, ścieg Richelieu. Rozmiary 55 X 45 cm. *Proj. J. Skalecka.*

Rys. 121. — Róg serwetki z szarego płótna. Nici: czarne, zielone, złote. Ścieg Madeira. *Proj. J. Skalecka.*



Rys. 122. — Poduszka ściegiem pocztowym, czarnym kordonkiem, bardzo łatwa i efektowna. Wymiar haftu 24 cm średnicy, całej poduszki 41 X 41.



Rys. 123. — Tabletka na płótnie szarem, na salonowy stolik. Wymiary: 71 X 71. Obrąbek mereżkowy. Haft płaski z czarnego kordonku, na odliczonych nitkach płótna. Motywy płaskim kolorowym haftem 11 X 11.



Rys 121.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela redakcja

Administracja dostarcza wzorów naturalnej wielkości.

Rys. 124. — Nadzwyczaj efektowne portjery na szarym kongresie, płaski kolorowy haft. Pasy kongresu obrębia się mereżką i łączy wstawką szydełkową z kordonka „ecru", brzeg obszywa się tego samego rodzaju koronką. Wymiary: długość całkowita portjery 3 m, szerokość całkowita 83 cm, w tem pas haftowany szeroki na 32 cm, nie haftowany 42 cm, wstawka $5^1/_2$ cm, koronka $3^1/_2$ cm. Lambrekin do portjer o wymiarach: długość $1^1/_2$ m, szerokość całkowita 64 cm, szerokość poszczególnych pasów taka jak w portjerach z wyjątkiem pasa niehaftowanego, którego szerokość wynosi 23 cm.



Bieliznę, wymagającą starannej pielęgnacji

jak koronki, jedwabie, materjały wełniane i rękawiczki należy prać, używając wyłącznie delikatnie perfumowanych Kryształków Mydlanych Elida, które są równie czyste i łagodne, jak znane mydło Elida-Ideal.



ELIDA
KRYSZTAŁKI MYDLANE



KĄCIK PRAKTYCZNY

NA PLAŻY

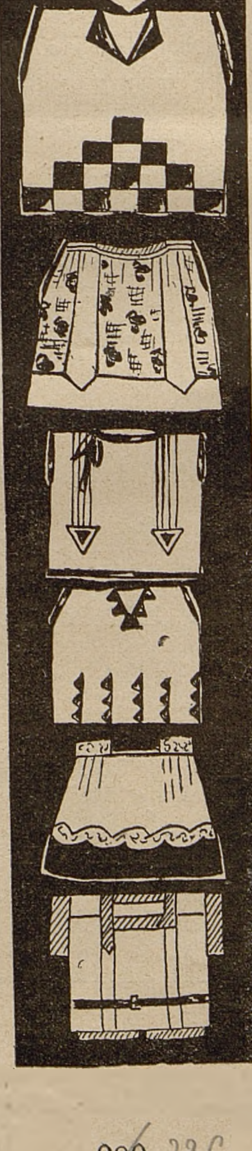
Wkrótce rozpocznie się wędrówka na Północ, nad Polskie Morze, nad którego falami zapominamy o troskach rodzinnych i leczymy skołatane nerwy. W czasopismach i wykwintnych żurnalach podziwiamy już teraz strojne kostjumy kąpielowe i pytamy się, czy też te jedwabne, strojne cacka dobrze zniosą słone fale morskie i ewolucje odważnych pływaczek? Ależ miłe Czytelniczki, kostjumy te wcale nie są przeznaczone do kąpieli, ani do pływania! Kto bywał w ostatnich latach nad morzem wie, że do pływania używa się skromnych i praktycznych trykotów, a owe czarowne kostjumy służą wyłącznie do przechadzek, leżenia na plaży w słońcu i — do flirtowania! Wszak niekażda rusałka z plaży na tak nienaganne kształty, żeby chciała je wystawić na widok publiczny. Inne zaś niewiasty — choć tych dziś mało — żenuje przegląd ich wdzięków, inne znowuż czują się najlepiej w kokieteryjnych barwnych kostjumach, w których też spędza się prawie cały dzień, składa wizyty w koszach, jada, nawet tańczy!

Do uzupełnienia strojnego kostjumu służy śliczny czepek i płaszczyk, często jedwabny i przypominający płaszczyki na ulicę w kroju i materjale.

Oczywiście nie wkłada go się na mokry kostjum pływacki! Do tego służą nadal płaszcze i peleryny z *eponge* w desenie i gładkie, pięknie przybrane i barwne, na które podajemy 3 modele.

Pod strojnem ubraniem kryje się zwykle ów skromny kostjum trykotowy, wystarczy więc zrzucić go i zanurzyć się w falach. W kąciku „praktycznym" nie możemy — rzecz zrozumiała — podawać niepraktycznych kostjumów strojnych, zadowalamy się więc pokazaniem dwóch skromnych, ale wykwintnych modeli, które spokojnie można narazić na przemoczenie i pływanie. Pod spodem znajdują się krótkie spodenki — mogą być trykotowe, jeśli niewidoczne — a wierzch, osobliwy tylko przez swój krój i dobór barw, może być uszyty z mocnego jedwabiu surowego, z alpaki albo nawet satyny. Pierwszy ciemny przybrany plisami krajanemi *en forme* i tem samem łatwemi do wykonania; drugi znowuż ma rodzaj baskinki składającej się z zębów w trzech kolorach albo odcieniach i wolniejszych ku dołowi. Dobór barw może wywołać różne efekty. Z pozostałych odpadków można stworzyć prześliczne stosowne czapeczki.

Podczas przechadzki na plaży wkłada się plecione, albo robione szydełkiem pantofelki. Bardzo praktyczne są pantofelki z łyczka. Podajemy 2 wzory szydełkowanych sandałków, z plecionemi podeszwami. Wierzch robi się podług formy *e*, zapiętek podług *f*. Wierzch pantofelka rys. 1. zaczynamy robiąc podług formy tyle oczek w powietrzu, ile trzeba na otoczenie wewnętrznego brzegu formy. Następnie należy robić ścisłe oczka aż do połowy łańcuszka, a środkowe 3 oczka 3 ścisłe oczka razem zakończone, tak, że powstanie 1 oczko; rys. *c* dokończyć rząd, urwać, robić następny nieco krótszy, w środku jak poprzedni i t. d., aż forma będzie zapełniona. Zapiętek robić podobnie. Na środku wewnętrznego brzegu przyszyć rodzaj języczka zakończonego pętelką do przewleczenia wstążek, które przyszywa się do zapiętka. Podeszwę robi się podług formy, z plecionki z łyczka, *b*, szyjąc od środka ku stronie zewnętrznej *a*. Koniuszek mocno owiązać i przyszyć. Do tej podeszwy przyszyć wierzch i zapiętek.



Drugi pantofelek różni się tem tylko od pierwszego, że zaczyna się z brzegu wewnętrznego, a do środkowego oczka łańcuszka robi się 3 ścisłe oczka, rys. *d*.

Nasze rysunki przedstawiają łyczko znacznie grubsze, jak ono jest istotnie, dla większej wyrazistości. Z cienkiego łyczka zrobi się znacznie więcej rzędów, co o wiele delikatniej wypadnie. Szorstkie łyczko dobrze zwilżyć przed użyciem. Bardzo ładnie wyglądają pantofelki z łyczka naturalnego i farbowanego, przyczem robi się rzędy naprzemian jedne i drugie. Wstążki do wiązania są zazwyczaj czarne, ale można także dać w kolorze stosownym do barwnego łyczka; do naturalnego polecamy: czarny, czerwony, zielony, szafirowy

Dzieci ubiera się na plaży w spodenki do zabawy a do kąpieli w skromne trykociki. Strojne kostjumiki wyrabiają tylko próżność i hamują żądzę ruchu i swobodną zabawę.

W poprzednim „kąciku" była już mowa o praktycznych francuskich sukienkach, o prostym kroju kwadratowym Podajemy kilka przykładów, jak można krój ten zastosować do sukienek, stosownych na plażę i na letniska, gdzie niema czasu ani sposobności zajmować się praniem i prasowaniem strojnych sukienek

Sukienki 1 i 4 mają otwory na ramionka nieco ścięte; jako przybranie aplikacja. Rys 3 przyozdobiony ponadto zakładkami, kieszonkami i wiązaniem na ramieniu. Sukienki 2 i 5 zmarszczone na ramionach, przyczem 2 ma górne brzegi tylko lamowane i złączone, a 5 dodane naramienniki. Ten ostatni model nadaje się szczególnie do zdłużania za krótkiej sukienki. Model 2 może służyć do zdłużenia i rozszerzenia, albo do użycia małych resztek. Rys. 6 przedstawia ubranko dla chłopczyka, zrobione również podług kroju „kwadratowego". Tutaj dodane są pliski do przydłużenia ramion. Spodenki ledwie widoczne. Sukienki 1, 3 i 4 po dodaniu spodenek mogą również służyć dla chłopczyków.

Zina Kulczycka

DOBRA GOSPODYNI

ZABEZPIECZENIE FUTER PRZED MOLAMI jest obecnie jedną z naszych największych trosk. Przedewszystkiem należy s ę postarać o kufer szczelnie zamknięty i zupełnie wolny od zarodków moli. Najlepiej wymyć go wewnątrz gorącą wodą z octem, a potem natrzeć lekko naftą. Wylepienie papierem gazetowym jest bardzo skuteczne. Futro należy dokładnie przewietrzyć i wyczesać, następnie włożyć do worka sklejonego z papierów gazetowych i zakleić otwór. Taki papierowy worek włożyć do worka z lnianego płótna, jeśli możliwe zupełnie nowego i obwiązać go mocno sznurem, kilkakrotnie okręconym naokoło otworu worka. Takie zabezpieczenie, wykonane dokładnie, jest zupełnie wystarczające. Można prócz tego zasypać jakim środkiem przeciw molom, jak np. naftalina, kamfora, pieprz, wióry panamy, albo przekładać różnemi ziołami, których woń jest molom niemiła. — Szczególnie nie lubią zapachu konopi, strączków pieprzu tureckiego i innych roślin, których nazw jednak' nie podajemy, bo nie we wszystkich okolicach rosną. Jeśli futra pozostają w szafach, można w nich rozwiesić wiązki konopi, płatki maczane w nafcie, terpentynie, albo spirytusowym rozczynie kamfory. Przynajmniej raz na miesiąc należy przeglądnąć i przewietrzyć, oraz wytrzepać futra, a pozatem najlepiej nie otwierać skrzyni, względnie szafy szczelnie zamkniętej.

Kto nie może albo nie chce się podjąć tych wszystkich zabiegów, niechaj najlepiej odda futra do przechowania do kuśnierza, który odpowiada za każde uszkodzenie.

RĘCE PANI DOMU. Pisaliśmy już o ułatwieniach w gospodarstwie domowem. W składach z naczyniem widuje się coraz więcej

praktycznych przyrządów ułatwiających pracę i szanujących ręce pani domu, która sama bez służącej zajmuje się gospodarstwem. Dziś więcej jak kiedykolwiek zwraca się uwagę na pielęgnację rąk, ale praca domowa niweczy często wszelkie zabiegi. Dlatego też powinny panie nie żałować wydatków na sprawienie praktycznych przyrządów i stale pytać o nowości.

Rękawiczki gumowe chronią ręce przy zmywaniu naczynia. Szczoteczki metalowe na długich trzonkach są bardzo praktyczne, gdyż nie wymagają wkładania rąk do wody. Ostatnio wymyślono duże pendzle z grubych bawełnianych nitek, osadzonych na długim trzonku. Służą one do wycierania naczynia. Maszynka do czyszczenia noży, wprawiana w ruch zapomocą korby, nie brudzi i nie nadweręża rąk. Do zapuszczania posadzek masą służy specjalna szczoteczka bawełniana. Z jej pomocą można powlec podłogę bez walania rąk. Bardzo niemiłe jest czyszczenie metali. Żeby palce nie weszły w bezpośrednią styczność z pastą albo płynem do czyszczenia, najlepiej owinąć jakiś patyczek watą, maczać w płynie i nacierać nim metalowe przedmioty. Polerowanie czystą flanelą dokończy pracy.

Szkodliwemu parzeniu rąk zapobiega się przez ściereczki do zdejmowania garnków i rondli z ognia. Robi się je najlepiej z bawełny albo włóczki na drutach lub szydełkiem. Można także na ten cel użyć kawałków starego trykotu, złożonego w kilkoro i razem obdzierganego kolorową włóczką. Uszko do powieszenia obok pieca kuchennego przyszyć na rogu. Papier gazetowy oddaje cenne usługi w kuchni. Wyciera się nim okopcone garnki z fajerki, chwyta przezeń większe grudy węgla, których nie można podnieść szczypcami itp.

Do obierania ziemniaków wynaleziono maszynki. Dobre są także specjalne nożyki, które w dodatku bardzo cienko obierają, co dużo znaczy w gospodarstwie, gdzie niema sposobności do zużytkowania odpadków. Gdy się namoczy ziemniaki na parę godzin w zimnej wodzie, łupina nie wala rąk przy obieraniu. Jabłek nie powinno się obierać stalowym nożykiem lecz specjalnym owocowym, przez co zapobiega się tworzeniu plam na rękach, które można usunąć sokiem cytrynowym. Przykre dla rąk i oczu jest krajanie cebuli. I na to poradzono, konstruując specjalny przyrząd do krajania cebuli.

Ponieważ soda bardzo niszczy ręce, dlatego najlepiej unikać używania jej; miękka woda deszczowa zupełnie wystarcza do prania drobnych rzeczy bez dodatku sody, której i tak dosyć zawiera mydło. Kto jest zmuszony prać większe rzeczy, powinien sobie sprawić jakąś nieskomplikowaną maszynę do prania i wyżymaczkę.

Przy sprzątaniu pani, dbająca o wygląd rąk, włoży rękawiczki. Po skończonej pracy poświęci chwilkę pielęgnacji rąk i to za wszelką cenę, bo nawet jeden dzień zaniedbania pozostawia zaraz ślady. Przy pracy domowej skórka przy nasadzie paznokci zarasta bardzo prędko, jako ochrona naturalna dla delikatnej części paznokcia.

Stykanie się z ostremi płynami powoduje kruchość paznokci; należy je więc co pewien czas natrzeć tłuszczem Nigdy nie powinno się używać wysuszających lakierów do paznokci. Inne zabiegi około *manicure* omówione zostały swego czasu wyczerpująco w dziale kosmetycznym.

FARBA DO PIECÓW ŻELAZNYCH I INNYCH ŻELAZNYCH PRZEDMIOTÓW. — Lakiery, farby olejne i grafitowe nie nadają się do trwałego lakierowania pieców, bo łatwo odpadają pod wpływem gorąca, a ponadto wydają niemiłą woń. Bardzo trwałą farbą, wad tych pozbawioną, jest szklana woda, zabarwiona jakąkolwiek mineralną farbą. Mimo silnego rozgrzania nie wydaje swądu ani nie pęka, chroni przed rdzewieniem i nie potrzebuje częstej odnowy. Pozostaje matową, co przyczynia się do intensywnego promieniowania ciepła.

RABARBARUM JAKO KOMPOT I KONFITURA. — W Polsce znacznie mniej używają tej rośliny jak za granicą Rabarbarum jest

ozdobą ogrodów, przytem dostarcza dwóch zbiorów. Kompot jest bardzo smaczny, reguluje przemianę materji, a nadmierny kwas można zneutralizować, dodając przy gotowaniu trochę sody aptecznej. — Na zimę można sporządzić konserwę bez wody i cukru, sterylizując we flaszkach zakorkowanych. Konfitury z rabarbarum smaży się jak z innych owoców. Znakomity jest tort kruchy przełożony marmeladą z rabarbarum. Dlatego każdy kto ma ogródek, powinien zasadzić rabarbarum, którego znamy kilka gatunków.

BISZKOPT Z MASŁEM. — Ubić 3 całe jaja z cukrem ile zaważą 3 jaja, dodać mąki ile zaważą 2 jaja i stopionego masła wagi 1 jaja, oraz skórki cytrynowej. Włożyć do wysmarowanej formy i piec.

TOWAROZNAWSTWO

Przy zakupnie konfekcji należy dokładnie oglądnąć zewnętrzne i wewnętrzne wykończenie Szwy powinny być solidnie wykończone, żeby się nie strzępiły. Końce nitek nie powinny wisieć niezakończone. Guziki i zatrzaski oraz inne zapięcia i ozdoby dobrze jest oglądnąć co do jakości i sposobu przyszycia. Za duże ściegi i licha nić są znamionami lichego gatunku konfekcji.

Listewki, podszycia i inne wykończenia powinny być wykonane z podszewki w dobrym gatunku.

Przy konfekcji męskiej należy także zbadać, czy użyte płótna i inne wkłady są lniane, konopne, wzgl. włosieniowe, bo papierowe namiastki powodują, że ubrania tracą prędko dobrą formę.

Garderoba dziecięca, przeznaczona na sztrapace i dłuższe noszenie, powinna być dość obszerna. Lepiej założyć za długą sukienkę, jak wkrótce przemyśliwać nad umiejętnem przydłużeniem z innego materjału. Pozatem nie powinna odzież uciskać dziecka ani krępować. Sukienki luksusowe, niepraktyczne, są męką dla dzieci, bo albo sprowadzają na nie ciągłe łajanie za nieuwagę, albo wyrabiają zbyt wielką dbałość o suknie, która może się wyrodzić w próżność.

Kupując lichą odzież, niedbale uszytą, nie można wymagać, żeby długo służyła dzieciom. Często zdarza się, że matka karze dziecko za uszkodzenie lichej albo przerobionej ze starego materjału sukienki, nie myśląc, że sama ponosi winę za krótkie trwanie. Szczególnie spodenki należy kupować z trwałej materji.

Przewrót, jaki dokonał się w bieliźniarstwie, może zdezorjentować co do akcesorjów solidnej bielizny. Znikły bowiem wszelkie listewki, a całem wykończeniem brzegów jest t. zw. endlowanie.

Bielizna taka nie znosi sztrapaców i silnego tarcia przy praniu. Bieliznę, przeznaczoną do sztrapaców, jak np przy uprawianiu sportów, lepiej więc wybierać z wykończeniem listewkowem. Szwy powinny być t. zw. podszewkowe, dwukrotnie stebnowane. Porządne wykończenie nitek należy do zalet dobrego gatunku bielizny.

Użyte koronki i hafty bada się sposobami dawniej podanemi. Rzecz jasna, że haft i mereżki ręczne zdobią bieliznę lepszej jakości.

Bieliznę męską i dziecięcą powinno się kupować w najlepszym gatunku. Nie podlega ona tak modzie jak bielizna damska, zatem warto kupować wyroby trwałe, zwłaszcza że jest wystawiona na większe sztrapace.

Przy kupnie kołnierzyków i mankietów trzeba uważać na wkłady. Zwykle jest wewnątrz zaznaczone, z ilu warstew składają się one. Poczwórne lepiej prasują się na sztywno. Przy wyborze numerów należy pamiętać, że kołnierzyk powinien być o 1 cm szerszy od kołnierzyka koszuli.

Przy bieliźnie warto wspomnieć także o gorsetach i opaskach biodrowych. Silny i gęsty materjał jest praktyczny ze względów ekonomicznych. Ze względów higjenicznych byłoby wskazane wybrać materjał przezroczysty, porowaty. Takie materjały są mocne i trwałe, o ile sporządzone z kręconej nici.

Gorsety do prania powinny mieć stalki do wyjmowania, najlepiej aluminjowe dla ich lekkości. Opaski z częściami gumowemi nadadzą się prać. Gęste gumowe opaski są niehigjeniczne, powinno się kupować takie, które przepuszczają powietrze.

Napierśniki zastępują dawniejsze wysokie gorsety, które ujemnie wpływały na kształty. Przy wyborze napierśników powinno się uważać, żeby nie przyniosły więcej szkody, jak pożytku. Ucisk zgóry jest szkodliwy, tak samo gęste i rozgrzewające materjały. Tiul, siatka, trykot ażurowy najlepiej nadają się na napierśniki. Staranne wykończenie zazwyczaj idzie w parze z dobrym gatunkiem zużytego materjału.

Szelki dla panów kupują czasem małżonki. Dlatego podajemy tu kilka wskazówek. Szelki z samej gumy są niepraktyczne dla mężczyzn pocących się łatwo, gdyż pot niszczy gumę. Guma oprzędzona bawełną albo jedwabiem powinna być elastyczna, ale mocna, jednak zczasem wyciągnie się. Szelki bez gumy, gęsto tkane, z cienkiej ale silnej bawełny są bardzo trwałe. Dokładnie trzeba obejrzeć części, w których mieszczą się dziurki. Są one albo z mocnej taśmy, gurtu albo skórki. Te ostatnie są zazwyczaj najtrwalsze. Niedoświadczonym paniom trzeba zdradzić, że panowie mają swoje upodobania co do szelek, dlatego jest praktycznem zastrzec sobie przy kupnie możliwość wymiany, żeby niespodzianka nie zrobiła więcej przykrości, jak uciechy.

Wyroby trykotowe miewają często małe skazy, na które należy zwrócić uwagę przy kupowaniu. W tych miejscach łatwo spuszczają się oczka, jeśli oczko jest wolne, nieuchwycone, albo jeśli nitka nadmiernie naciągnięta. Tak samo powinno się zbadać wykonanie szwów i wykończenie. Najporządniejsze wykończenie jest wykonane tasiemkami.

Reformy często mają podwójne zasilenie w kroku, co jest bardzo praktyczne.

Po zakupieniu gotowej odzieży jest wskazane obejrzeć dokładnie całą rzecz i poprzyszywać odrazu wszystko co jest niedbale przyszyte albo źle wykończone, żeby zapobiec większym szkodom i naprawkom.

Pończochy w lepszym gatunku mają stopę i pięty podwójne. Pończochy ze szwem lepiej leżą, jak bez szwu. Tym ostatnim nadają formę przez wytłaczanie, które po wypraniu zanika.

Jedwabne pończochy mogą być czysto jedwabne, z jedwabiu mieszanego z jedwabiem sztucznym i ze sztucznego jedwabiu. Pierwsze są bardzo trwałe i ciepłe, ale także bardzo drogie. Do drugiego rodzaju należą także pończochy lepszej jakości, zależnie od ilości domieszki prawdziwego jedwabiu. Mieszane z dużą ilością sztucznego jedwabiu nie grzeją, a w zimie nawet chłodzą. Trzeci gatunek jest najlichszy, łatwo się drze i pierze źle. Często już po jednorazowem włożeniu stają się bezużytecznemi. Prócz tego mną się bardzo i mają silny niewytworny połysk. Im mniej pończochy się mną, tem lepszy jest ich gatunek, gdyż zawierają mniej jedwabiu sztucznego. Przy kupowaniu jedwabnych pończoch nie należy więc oszczędzać, gdyż tu bardziej, jak przy innych artykułach stosowna zasada, że najlepszy gatunek jest najtańszy. — Przy jedwabnych pończochach należy jeszcze uważać, czy nie mają u góry za szerokiego dodatku z bawełny, który mógłby być widoczny przy krótkich sukienkach. Natomiast obrębek podbity bawełnianym trykotem albo cały bawełniany przyczynia się do trwałości, gdyż chroni przed spuszczaniem się oczek przez sprzączki podwiązek

Różne gatunki pończoch zachwalane jako „półjedwabne“ są zwykle bawełniane z merceryzowanej bawełny. Bawełniane pończochy włożone na rękę powinny wykazać czysty, równo przejrzysty trykot, a nie mętny i mszysty. Taki bowiem jest utkany z nitki niekręconej, zatem nietrwałej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

T. W. — 1 Pytanie co do podłogi w kuchni zanadto ogólnikowe. Nie wiemy, czy chodzi o położenie nowej podłogi, czy Szan. Pani ma większe gospodarstwo itp. Do gospodarstwa wiejskiego najodpowiedniejsza jest podłoga z płyt kamiennych lub betonowych, z kafli, a także cementowa. W kuchni miejskiej, w której pierze się bieliznę i do której wchodzi się wprost ze dworu, najpraktyczniejsza podłoga do szorowania. Do kuchni w większem mieście, dla

rodziny złożonej z małej liczby osób, nadaje się podłoga zapuszczona olejną farbą. Oczywiście nie można w takiej kuchni prać. 2. Myć w odwarze z rumianku; pozatem nie istnieją środki naturalne wstrzymujące ciemnienie włosów u dzieci, postępujące z wiekiem.

Oleńka — 1. Kapelusz ze słomki czarnej, lub szarej w zestawieniu z czarną błyszczącą wstążką. 2. Do plisowanej spódniczki z czarnej tafty nadaje się równie dobrze bluzka z jasnego jedwabiu, jak i jumperek z trykotu jedwabnego.

Stała Czytelniczka Iza. — Z tego rodzaju zniekształceniem należy udać się do lekarza ortopedysty, który po zbadaniu zadecyduje o kuracji. Wysokość honorarjum zależy od ilości niezbędnych zabiegów.

Iza, Hala, Irka, Henka. — Odpowiedź podajemy na tem miejscu ponieważ rubryka „Wypada — nie wypada" została z nrem 9 zniesiona. 1. W obu przypadkach należy się odkłonić. 2. Oddać ukłon dopiero wówczas, gdy ukłon męża został odwzajemniony. 3. Zaczekać na ukłon 4. Równocześnie z mężem. W kwestji umiejętnego składania i odwzajemniania ukłonów niesłusznie obwinia Pani szkołę. Jest to bowiem zakres wychowania domowego, gdyż tylko rodzice mają sposobność bywania wszędzie z dziećmi i pouczania ich przy każdej nadającej się sposobności.

Erjot. — Nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że pan domu, który zamiast bawić rozmową zaproszonych gości, dał im czasopisma do przeglądania — postąpił w wysokim stopniu nietaktownie i nieuprzejmie.

Warszawianka — Niektóre krajowe wyroby perfumeryjne nie ustępują w niczem zagranicznym, o czem przekona się Pani łatwo, kupując fabrykaty Fryderyka Pulsa, Warszawa, Wierzbowa 11. Dostanie tam Pani wonne saszety, o których wspomina, suche ołówki do ust i niezrównane wody kolońskie kwiatowe. Wyroby Pulsa są we wszystkich pierwszorzędnych perfumerjach w Polsce do nabycia.

Garsonka — Istotnie wprowadził A. Prevendar w swoim salonie fryzjerskim Lwów, pl. Bernardyński 5, zniżone ceny i zniósł wszelkie dodatkowe świadczenia dla personalu. Jest to miła nowina dla wszystkich garsonek, potrzebujących częstych poprawek.

Turysta — Przed zwiedzeniem salin wielickich radzimy nabyć i przestudjować wzorowo opracowany i bogato ilustrowany podręcznik *„Wieliczka"*, którego autorem jest *Jan Słowik.* Kopalnię zwiedzać można każdego dnia, prócz niedziel i świąt.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska.**
Wydawca: Bernard Połoniecki, Lwów. — Odp. red. Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, Chorążczyzna 27.
Telefon administracji: 4-32. Z drukarni L. Wiśniewskiego, Lwów, Ossolińskich 16. Telefon redakcji: 48-34.

